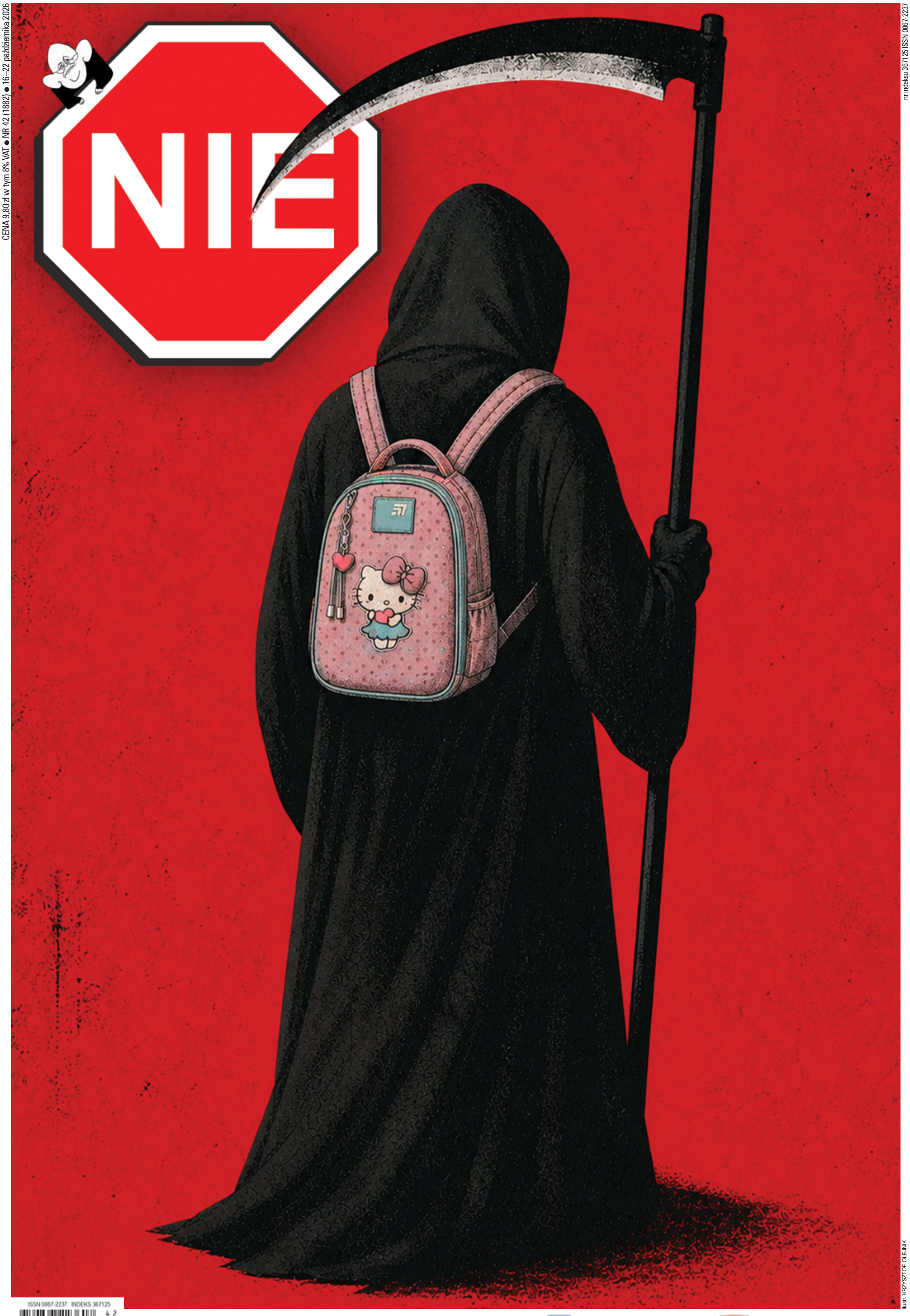
Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 9,80 zł w tym 8% VAT ● NR 42 (1882) ● 16–22 października 2026

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl e8f39059d9

WOJNA DOMOWA

Donald Tusk po raz kolejny udowodnił, że do perfekcji opanował technikę ucieczki do przodu. W środę, kiedy zamykamy ten numer „NIE", media żyją siłowym ingresem Macieja Berka do Trybunału Konstytucyjnego, we wtorek głównym tematem było oburzenie wywiadem Karola Nawrockiego w „Rzeczpospolitej", w poniedziałek – szczęśliwie udaremniony zamach na premiera i wicepremiera. Trzy dni minęły od wielkiej prestiżowej klęski Tuska – krakowskiego zwycięstwa Łukasza Gibały nad Moniką Piątkowską – i taktownie nikt z mainstreamu już o tym nie mówi. Nigdy nie należeliśmy do tej prestiżowej grupy – więc odnotujemy, że Gibała wygrał stosunkiem głosów 62,12 do 37,88 proc., co trudno uznać za wyrównaną walkę. „Startowałam w bardzo trudnej sytuacji, wykonaliśmy ogromną pracę, zagłosowało na mnie niemal 100 000 mieszkańców Krakowa, to była bardzo brudna kampania" – orzekła senator Piątkowska po ogłoszeniu oficjalnych wyników. Bo przecież to nie do pomyślenia, żeby zaprezentowana w Warszawie przez premiera z Gdańska kandydatura Zakopianki mieszkającej w Nadarzynie nie odpowiadała krakowskim wyborcom.

W ten sam wieczór dowiedzieliśmy się, że policja udaremniła śmiertelnie poważny zamach na życie premiera Tuska, a także wicepremiera Kosiniaka-Kamysza. Potencjalnym zamachowcem okazał się 66-letni mieszkaniec Wrocławia, który – jak ujawnił na specjalnej wieczornej konferencji prasowej prokurator Piotr Skiba – „pozyskał osoby posiadające broń do współpracy oraz miał pozyskać adresy poszczególnych polityków". A także „wypowiadał się bardzo negatywnie na temat zarówno prezesa Rady Ministrów, jak i Ministra Obrony Narodowej i członków Rady Ministrów" – co samo w sobie jest, przyznacie, zbrodnią przeciwko narodowi polskiemu. A potem usłyszeliśmy o „propagowaniu wojny napastniczej oraz popieraniu tej wojny napastniczej między innymi na Ukrainie". Kto się założy: ile czasu upłynie, zanim usłyszymy, że Krzysztof N. nie był niezrównoważonym frustratem, wylewającym swoje żale w necie, tylko działał na zlecenie Rosji?

We wtorek „Rzeczpospolita" opublikowała wielgachny wywiad z prezydentem Nawrockim. Tekst „Rzepa" sprzedała pod fałszywym tytułem stanowiącym niezasłużony komplement: „Donald Tusk jest politykiem antyamerykańskim". O sobie Nawrocki mówi – trzykrotnie – że jest „proatlantycki". Taka sama gówno prawda. Gdyby Karol Nawrocki był „proatlantycki", to troszczyłby się o NATO po obu stronach Atlantyku, o spójność i równoprawność sojuszu, zamiast łasić się do pomarańczowego dementa, który traktuje NATO jak rekiet: będziemy was bronić, jak zapłacicie, a jak nie, to „zachęcę Rosję, żeby zrobiła, co tam sobie chce". Premier Tusk skomentował wywiad prezydenta słowami, które zapewne wydały mu się błyskotliwie ironiczne: „Pan Karol Nawrocki stwierdził, że nie widzi wzrostu zagrożenia ze strony Rosji. Nie widzi też problemu w obecności w polskiej polityce Brauna i jego prorosyjskiej partii. Dzięki za szczerość". Marszałek Czarzasty, prymus w klasie dupowłazów, poszedł krok dalej: „Pan prezydent uważa, że nie ma zagrożenia ze strony Rosji w tej chwili". Tak dla porządku: Nawrocki nic takiego nie powiedział. Jego teza jest zgoła inna: „Rosja zawsze była i jest zagrożeniem", ale „poziom zagrożenia nie zmienił się istotnie w ciągu ostatniego pół roku", tylko Tusk z „powodu prywatno-partyjnych interesów" uprawia „dystrybucję strachu". Nieco nam głupio, ale w tej ostatniej sprawie jesteśmy z Nawrockim.

W środę z kolei marszałek Czarzasty zaprzysiągł ministra Berka na potrzeby Trybunału Konstytucyjnego. Prezydent oczywiście uznał, że Berek pozostaje niezaprzysiężony, a opinię tę podzielili aktywiści Ruchu Obrony Granic okupujący siedzibę TK oraz szereg pisowskich gwiazd z prezesem na czele. Jarosław Kaczyński wygłosił do demonstrantów krótki wykład na temat porównania współczesnych i historycznych form władzy: „To jest system dyktatorski, absolutystyczny, to w państwach, gdzie był władca absolutny, jego wola była prawem, chociaż też były różnego rodzaju ograniczenia, no nie będę wchodził tutaj w wykład historyczny, ale to też nie wyglądało tak jak teraz, to jest po prostu barbarzyńska dzicz". Premier Tusk skwapliwie wykorzystał wystąpienie prezesa i całą zadymę: „Wydarzenia pod Trybunałem, próba zablokowania prawidłowo wybranych sędziów przez uzurpatorów, awantury i burdy pod bramą TK – to wszystko przypomina nam bardzo dobitnie, o co walczyliśmy trzy lata temu"…

À propos tego, o co walczyliśmy: projekt zaostrzenia kodeksu karnego opracowany przez wiceszefa MSWiA Czesława Mroczka przewiduje wsadzanie na trzy lata każdego, kto umierającemu z zimna i wycieńczenia uchodźcy w białowieskich lasach poda kubek ciepłej zupy albo odda suche skarpetki. Dokładnie brzmi to tak: „Kto, wiedząc, że inna osoba przebywa na terytorium RP wbrew przepisom, umożliwia lub ułatwia jej dalszy pobyt, podlega karze pozbawienia wolności do lat 3". Projekt to ewidentnie efekt frustracji związanej z uniewinnieniem piątki z Hajnówki – pięciorga wolontariuszy, których tak obecna, jak i poprzednia władza chciała wsadzić za człowieczeństwo na polsko-białoruskim pograniczu. Sąd zrobił szmatę z aktu oskarżenia, wykpiwając argument prokuratury, iż aktywiści działali „w celu osiągnięcia korzyści majątkowej lub osobistej", albowiem ratowani przez nich uchodźcy osiągali korzyść polegającą na tym, że ktoś uratował im życie. Władza najwyraźniej uznała, że to skandal i że karalność humanitaryzmu musi być wprost zapisana w prawie. To o cośmy walczyli?

AWŁ

Z URNY BLAGIERA URBANA

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH



Październik–listopad 2014 r.

Świętego Judy

Kiedy Waldemar Dąbrowski, dyrektor Teatru Wielkiego, na żydolubnej gali witał ze sceny prezydenta, premierzycę, notabla kościelnego itd., widownia dawała im zdawkowe brawka. Owacja wybuchła na cześć Romana Polańskiego. Jedynego w dziejach Polaka nazwanego geniuszem. Mianował go nim najwyższy trybunał międzynarodowy tego czasu, kwartet Bitlesów. Dziś rząd USA żąda od Polski, aby z okazji pobytu reżysera w ojczyźnie wydać go w łapy Stanów. Od blisko 40 lat Ameryka ściga – już dziś – starca za to, że za młodu zerżnął chętną panienkę, zaniedbując ją wylegitymować. Tego ani gwałtownika, ani pedofila oszukał zresztą wymiar sprawiedliwości USA, nie dotrzymując umowy. A polskiej prokuratury nie stać na to, żeby obsesje rządu Stanów olać, lecz nęka Polańskiego przesłuchaniem. Zdaje się, że częściowo w Polsce reżyser będzie robić film o bohaterze narodowym Francji płk. Georges'u Picquarcie. Problemowo rzecz dla Polski bardzo na czasie. Picquart był pojedynczym oficerem, który wygrał wojnę z całą armią, prawicą i Kościołem.

Świętego Narcyza

Z Paryża napłynęła krytyka ubrania, w którym siedziałem na procesie wytoczonym mi przez prokuraturę na wniosek przedstawicieli Chrystusa Zdziwionego. Stawiam w stan gotowości firmę krawiecką Zaremba.

Świętej Bienvenne

„Gazeta Polska" się oburza, ponieważ UEFA ukarze warszawską Legię za to, że jej kibole wywiesili na meczu w Kijowie transparent z napisem „Wilno Lwów". Błagam sportowców niemieckich o wywieszenie w Polsce napisu „Danzig Posen", to Sakiewiczowi piana pocieknie.

Wszystkich Świętych

Moja III żona Daniszewska jest tak dobrą kobietą, że jeszcze nigdy nie przejechała człowieka. Próżno ją szczuję: patrz, staruszka! Gośka,



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

idzie dziecko, to okazja! Chciał mnie zaatakować wróbel, skakał już po trotuarze, to nie pozwoliła mi niczym w niego rzucić. Chyba Daniszewska celuje w to, że papież Franciszek mianuje ją świętą. Ja pierdolę, cyrk w Watykanie to beze mnie. Nie po to wyjmowałem dajną Gośkę z żydowskiego burdelu redaktora Atlasa (właściwie Ałasa).

Świętego Quentina

Wprowadziła się do nas na kilka dni należąca do rodziny powabna kundlica Lola. Azor uprzejmie powąchał ją w dupę, co jest odpowiednikiem pocałowania w łapę i już nie wychodzi ze swojego legowiska. Jest biedak świadom, że współczesne suki bezwzględnie gwałcą samców. Sam mu o tym mówiłem.

Świętego Defunsa

W toku rozwlekłych uroczystości z okazji otwarcia Muzeum Żydów podeszło do mnie dwóch młodych ludzi w czerni. Na głowach mieli pilśniowe kapelusze noszone w latach 50. Mówiło się na nie panama. Zagadnęli mnie w jidysz, zdziwili się, że nie rozumiem, upewniali, że jestem Żydem i zaprosili na koszerny posiłek. Mimo że wolę dietę oświęcimską od obrzydliwego koszer, grzecznie wymieniłem z nimi ogólniki, że trzeba pracować dla przyszłości itp. Wręczyli mi wizytówki. Kiedy obejrzałem je potem, okazało się, że to dwaj bracia-rabini, więc moja sekretarka odpowiedziała ich sekretarce, że nie jestem zainteresowany spotkaniem. Daniszewska ma mi to za złe, bo rabini byli ładni i mieli wesołe febliki w oczach. Nie zauważyła, że jej wcale nie zapraszali, bo kobieta jest jak pies, a nawet mniej, gdyż rabin nie podaje jej ręki. Czasem mam wrażenie, że Daniszewska puściłaby się nawet z papieżem, bo jest wesoły. A co, ma być smutny, mając taką posadę?

Świętego Huberta

Z żalem dowiedziałem się, że MSZ odebrał akredytację mojemu znajomemu, rosyjskiemu dziennikarzowi Leonidowi Swiridowowi. Znał Polskę i był jej przyjazny. Chcą go nawet wyrzucić z kraju, ale podają mgliste powody. W każdym razie prawa nie złamał. Wydalanie dziennikarzy zawsze jest głupotą, bo na ich miejsce przysyła się kogoś gorszego, gdyż mającego misję odwetową. Tak mówiłem i wtedy, kiedy byłem rzecznikiem rządu w PRL, ale decydujący głos w takich sprawach miały i mają służby specjalne. Za moich czasów wydalono amerykańską dziennikarkę Gruber. Powodem było szpiegostwo, ale jej czyn szpiegowski na kilometr śmierdział prowokacją. Oczywiście głosiłem wersję oficjalną. Za demokracji i wolności pani Gruber była u mnie w domu na kolacji i zapytała, czy mogę się dowiedzieć, dlaczego w PRL na nią padło. Udało mi się. Napisałem do niej do USA, że podobno była kochanką rezydenta CIA w Warszawie i SB miała nadzieję, że on wyjedzie w ślad za nią. Gruber podziękowała, nie zaprzeczając romansowi. A ja pozostałem trwale zdziwiony gustem rezydenta CIA, urzędnika o wielkich możliwościach. Każda dziewczyna idąca ulicą górowała urodą nad kochanką szpiega.

Świętej Bertylli

Mieszkam w gminie Konstancin-Jeziorna. Nie wiem, kto jest burmistrzem, czy on dobry, czy zły, związany z jakąś partią czy nie. To samo dotyczy radnych oraz wybieralnych władz powiatowych. Personalny wynik wyborów mi zwisa, polityczny nie. Jak się zmotywować, żeby pojechać do urny? Taki problem ma wielu mieszkańców sypialni rozsypanych wokół miast. Pracuję, żyję, jem i wydalam w Warszawie, a mam decydować, kto rządzi obszarem, na którym postawiłem łóżko.

Cd. świętej Bertylii

Moje genitalia śmierdzą. Pozwala mi to zachować impotencję. I jest świadectwem polskości. ❑

PROMOCJA





Rys. TOMASZ WIATER

PRZEMINĘŁO Z WIATEREM

LISTONOSZ DONIÓSŁ

Weksel za grosz

Chciałbym zwrócić uwagę na zwyczaj niewydawania grosza, szczególnie rozpowszechniony w Żabkach. Taka bezczelność rodzi szlachetny wkurw. W sukurs Kermitowi i spółce przyfrunęły orły temidy, wysmażając interpretację, zgodnie z którą sprzedawca nie jest obowiązany wydać reszty, jeśli klient nie zapłaci odliczoną gotówką. OK, pragnę jednak zwrócić uwagę, że takie odciążenie sprzedawcy oznacza obciążenie klienta, który, aby nie ponieść straty, ma obowiązek przekazać kwotę dokładnie odpowiadającą cenie.

Przychodzą mi do głowy dwa salomonowe rozwiązania tej niebagatelnej kwestii. Pierwsze polegałoby na konsekwentnym przyjęciu, że sprzedawca może przyjąć za dany towar nie tylko kwotę wyższą od jego ceny poprzez niewydanie grosza czy nawet dwóch, ale również niższą poprzez wydanie groszy dwóch zamiast jednego czy (...) nawet pięciu zamiast dwóch czy jednego. W transakcjach z danym klientem musiałaby zatem zapanować reguła naprzemiennych strat groszowych, przy czym w czasie pierwszej sprzedaży losowo, najlepiej rzutem groszową monetą, byłby wyłaniany pierwszy szczęśliwiec.

Drugie rozwiązanie sprowadzałoby się do odroczenia w czasie zwrotu grosza czy dwóch do powiedzmy dnia następnego (nie jest możliwe, by przez cały dzień obrotowy sprzedawca nie znalazł się w posiadaniu grosza lub dwóch). A że czasy nam nastały lalkowe, zwrot grosika najlepiej byłoby zabezpieczać wekslem. Można by się nawet pokusić o próbę pewnej futurologii i oczami wyobraźni ujrzeć plajtę niejednej Żabki, która na czas idących w miliony weksli nie wykupiła ku uciesze rodzimych drobnych handlowców. Wreszcie wcielona w życie zostałaby złota (groszowa) zasada: „swój po swoje do swojego" („nauczeni od małego").

GRL

eprasa.pl e8f39059d9

Co naprawdę wydarzyło się jesienią 1956 r.

Październik

Z całą pewnością wydarzenia październikowe 1956 r. w stosunkach polsko-radzieckich należą do najważniejszych w polskich dziejach po II wojnie światowej. A równocześnie – od kilku dziesięcioleci haniebnie spychanych w niepamięć przez oficjalną politykę historyczną obu rządzących frakcji postsolidarnościowych. Pamięć narodu nie pozwoli się tak brutalnie sponiewierać – obroni się przed tym gwałtem, ale trzeba ją w tej obronie ze wszystkich sił wspierać.

Mija właśnie 70 lat od tego wydarzenia. W archiwum domowym przechowuję fotografię: 21 października 1956 r. w chwilę po zakończeniu obrad KC PZPR na pustej już sali czytam Gomułce i ósemce nowo wybranych członków kierownictwa partii projekt komunikatu prasowego o tym wydarzeniu. Napisałem ten komunikat i za chwilę przekażę prasie.

Koniec despoty

Zwrot październikowy 1956 r. był kluczowym momentem polskiej destalinizacji i położył kres najbardziej ponuremu fragmentowi naszych dziejów po II wojnie światowej. Siedem lat stalinizmu (1948–1953) – to orgia przemocy i zamordyzmu. Do więzień wtrącono ponad 3 tys. politycznych więźniów. Ponad setkę zgładzono. Wojskiem na polecenie Stalina dowodził radziecki marszałek Konstanty Rokossowski, dowódca wybitny i Polak, ale Stalinowi wtedy wierny. Miał zapobiec polskiemu „buntowi".

W polityce represyjnej bardziej jeszcze od rodzimej bezpieki srożyła się kierowana przez radzieckich oficerów wojskowa informacja, której ofiarą padło kilkudziesięciu wyższych oficerów. Kilku postawionych przed sądem generałów ocalało tylko dlatego, że ich zeznania były potrzebne na szykowanym procesie Gomułki. Sam Gomułka wraz z żoną i Marianem Spychalskim siedział w więzieniu od połowy 1951 do końca 1954 r.

Cała prasa przemawiała jednolitą „drętwą mową". Płace były niskie, a zaopatrzenie marne. Lud zaczynał się buntować, górnicy strajkowali pod ziemią, chłopi bojkotowali dostawy obowiązkowe produktów rolnych. Przemocą wymuszono zawiązanie się 12 tys. rachitycznych „kołchozów" pod nazwą spółdzielni produkcyjnych.

W 1948 r. główna frakcja rządzącej Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej – kilka tysięcy członków przedwojennej nielegalnej partii komunistycznej – entuzjastycznie poparła prostalinowski zwrot skierowany przeciw Władysławowi Gomułce, swemu przywódcy o poglądach narodowokomunistycznych. W czasie stalinizmu Gomułce śmierć zajrzała w oczy; blisko cztery lata spędził w więzieniu. Nie podzielił jednak losu podobnych polityków w innych krajach tej strefy. Uszedł z życiem po części dzięki własnemu uporowi w śledztwie – a po części temu, że ówczesne bierutowskie kierownictwo PZPR było niechętne idei pokazowego procesu Gomułki i zwlekało z realizacją nalegań Stalina.

Despotia Stalina należała do mocnych, trudnych do obalenia, takich co upadają dopiero po przegranej wojnie lub po śmierci despoty. Hitleryzm upadł w ogniu totalnej klęski wojennej, stalinizm – po śmierci Stalina. Kryzys sukcesyjny, jaki ta śmierć wywołała w Związku Radzieckim, trwał prawie 10 lat. Walki diadochów osłabiły imperium i przyniosły sporo ulgi poddanym oraz krajom zależnym.

Z tych ostatnich najlepiej wykorzystały ten kryzys Chiny Ludowe i Polska. Chiny – dla wybijania się na należną im pozycję wielkiego mocarstwa, Polska – dla znacznego poszerzenia zakresu niezależności.

Światło na Gomułkę

Destalinizacja w Polsce została mocno pobudzona już w kilka miesięcy po śmierci Stalina: upadkiem szefa politycznej policji Laurentija Berii. Wraz z współpracownikami został on rozstrzelany. Wywołało to popłoch w kierownictwie polskiej bezpieki i Informacji Wojskowej. Jeden z przywódców tej kliki ppłk Józef Światło skorzystał z nadarzającej się okazji i w Berlinie prysnął na zachód, a kilka tygodni potem z anteny Radia Wolna Europa zaczął opowiadać o wyczynach kolegów i ich politycznych mocodawców. O mordach sądowych, ale też o tym, gdzie w mieszkaniu premiera Cyrankiewicza zostały zamontowane aparaty podsłuchowe. Cyrankiewicz opowiadał mi, że zaraz po tej audycji spanikowana bezpieka urządzenia zdemontowała.

Relacje te wywołały wzrost oburzenia w aktywie partii i w inteligencji w ogóle. Kierownictwo partii poczuło się zmuszone do działania, postanowiło zmienić kierownictwo Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego i dla poinformowania o tym zwołano zebranie centralnego aktywu. Ku zaskoczeniu zebranie to zdominowała ostra krytyka Bieruta i Bermana, którzy nadzorowali MBP. Podniesiono też sprawę Gomułki, domagając się jego uwolnienia. Zaniepokojony Bierut zdecydował się uwolnić żonę Gomułki, a jego samego przenieść do szpitala na leczenie, a później też uwolnić. Postanowił jednak w propagandzie utrzymać krytykę „gomułkowszczyzny", a także przyspieszyć proces Mariana Spychalskiego mimo braku podstaw. To nie uspokoiło nastrojów. Napięcie narastało, kulminacja nastąpiła wiosną 1956 r. po demaskującym Stalina „tajnym" przemówieniu Chruszczowa na XX Zjeździe KPZR i śmierci Bieruta w Moskwie.

Otwarty został również w Polsce kryzys sukcesyjny. W obecności Chruszczowa KC PZPR wybrał I sekretarzem dawno na to stanowisko przewidzianego Edwarda Ochaba. W aktywie partii jednak coraz głośniej domagano się przywrócenia Gomułki. Uformowały się dwie przeciwne frakcje. Mniej liczna, ale ciesząca się radzieckim poparciem, zwana natolińską, opowiadała się śladem radzieckim za destalinizacją ograniczoną. Surowo ukarać kilku sprawców polskiej „beriowszczyzny", czyli szefów MBP i Informacji Wojskowej oraz ich nadzorców w partii, personalnie Jakuba Bermana. Natomiast powstrzymać się od krytyki systemu oraz uzależnienia od ZSRR.

Druga, liczniejsza frakcja, zwana puławską, obok odpowiedzialności personalnej większą wagę przykładała do reform systemowych w kierunku demokratyzacji i przede wszystkim normalizacji stosunków z ZSRR. Gomułka zdecydowanie poparł tę drugą frakcję, mimo że w niej znalazła się większość jego prześladowców z 1948 r. O natolińczykach mówił pogardliwie „agenciaki"; dla niego uniezależnienie się od ZSRR i KPZR było najważniejsze.

Ochab początkowo wahał się, ale po kilku miesiącach zdecydował się poprzeć puławian i zrezygnować ze stanowiska I sekretarza na rzecz Gomułki. 10 października odbyło się posiedzenie Biura Politycznego z jego udziałem. Większością głosów postanowiło zwołać za tydzień posiedzenie KC, zbiorowo podać do dymisji, zaproponować Gomułkę na I sekretarza i wybrać nowe Biuro Polityczne – mniej liczne, bez udziału Rokossowskiego i z jednym tylko przedstawicielem Natolina, Aleksandrem Zawadzkim.

Do zaproszeń na posiedzenie dołączono propozycje personalne. Rozwścieczeni natolińczycy zwrócili się o ratunek do protektora radzieckiego.

Polska niegościnność

Kreml też był oburzony, zarówno charakterem propozycji, jak też tym, że wbrew obyczajowi nie konsultowano ich z hegemonem. Radzieccy potraktowali to jak zdradę, rodzaj zerwania umowy wasalnej. Zażądali od Ochaba odwołania posiedzenia KC i uzgodnienia z nimi propozycji personalnych. Wobec odmowy zawiadomili, że wysyłają do Polski niezaproszoną delegację z Chruszczowem na czele i domagają się jej udziału w posiedzeniu KC.

Mimo ponownej odmowy delegacja ta do Warszawy poleciała. Na Warszawę zaś skierowano dwie radzieckie pancerne dywizje stacjonujące nad granicą z NRD. Na lotnisku doszło do karczemnych scen, ale ostatecznie zebranie KC otwarto i odroczono, a z radziecką czteroosobową delegacją rozmowy w Belwederze podjęło dotychczasowe BP oraz Gomułka jako jego kandydat na I sekretarza.

Obecnie znamy dokładnie ich burzliwy przebieg – na podstawie zapisu Jana Dzierżyńskiego, który odnaleziono 20 lat temu w archiwum domowym zmarłego Chruszczowa. Bohaterami tego starcia byli Chruszczow i Gomułka. Wygarnęli sobie wszystko. A dywizje były coraz bliżej, lud Warszawy wznosił już barykady. Gdy zbliżyły się na 150 km, Gomułka zagroził zerwaniem rozmów. Zdecydowano zakończyć je połowicznym kompromisem.

Strony pozostały przy swoim. Chruszczow: wyjeżdżam pełen trwogi. Gomułka: o składzie naszego kierownictwa zdecydujemy wyłącznie my sami. Ale dywizje zatrzymano w rejonie Łodzi.

Plenum KC wznowiło obrady. Reformatorska frakcja w KC zdecydowała się wybrać nowe kierownictwo zgodnie z zamiarem. Zasadnicze wystąpienie wygłosił Gomułka. Delegacja KPZR wyjechała z niczym, ale też nie zrezygnowała. Mogła wrócić.

Chruszczow cofnął się przed użyciem wojska. Miał go zapewne za mało, a ponadto nie uzyskał wciąż poparcia, o które się zwrócił do trzech państw bloku: Czechosłowacji, NRD i Chin. Dwa pierwsze poparły interwencję z entuzjazmem, ale Chiny milczały. Odpowiedź od nich czekała na Chruszczowa w Moskwie: stanowczy sprzeciw, groźba otwartego potępienia tego „aktu wielkomocarstwowej przemocy" i zdecydowane poparcie dla Gomułki.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Do Moskwy przyleciała niezaproszona delegacja Chin. Przez dwa dni Chruszczow usiłował ją przekonać, że interwencja zbrojna w Polsce jest niezbędna. Nie ustąpili, więc ustąpił Chruszczow. Uchwalono deklarację nowych partnerskich zasad współżycia państw bloku i nakazano wojskom wrócić do baz.

Plenum KC PZPR wybrało nowe władze większością dwóch trzecich głosów. Rokossowski otrzymał tylko 23 głosy na 75. W kraju zapanował entuzjazm. Partia Gomułki wywalczyła autonomię, choć na razie tylko w sprawie składu władz.

Autonomia postępująca

Od pierwszej chwili władze te zaczęły z autonomii korzystać – z rozwagą, ale konsekwentnie. Rozwiązano 90 proc. „kołchozów". Uchylono internowanie prymasa Wyszyńskiego i sprowadzono go do Warszawy. Przystąpiono do zwalniania więźniów politycznych, wszystkich bez wyjątku. Delegacja z Gomułką na czele wyjechała do Moskwy dla uzgodnienia spornych spraw gospodarczych i warunków stacjonowania wojsk radzieckich w celu dostępu do NRD. Zwiększono wolność słowa, wracała barwność prasy.

Odrębność i nowy status PRL umacniały się z czasem. Każda kolejna ekipa dodawała do niej coś nowego. Gomułka uwolnił wieś od kolektywizacji; następna ekipa, gierkowska, zniosła dostawy obowiązkowe, ograniczenia w rozmiarze gospodarstw i dostęp chłopów do mechanizacji, otworzyła drogę do farmeryzacji wsi. Gomułka przywrócił swobodę działania prymasowi, Gierek zaś całkowicie znormalizował stosunki z Kościołem, nawiązał stosunki z Watykanem, zniósł ograniczenia w budownictwie kościelnym. Obie ekipy kolejno poszerzały swobodę działalności naukowej i umożliwiły więź polskich nauk społecznych z nauką światową. Czasopisma naukowe upodobniły się do zachodnich, w bloku radzieckim udostępniano je w trybie prohibitów. Polska pozostawała autokracją, ale wyjątkową, przez długie okresy zupełnie bez więźniów politycznych. Między 1956 i 1989 r. było 20 takich lat. Zauważmy: w II RP nigdy nie było mniej niż 3 tys. takich więźniów.

Gomułka i jego następcy nie przywrócili demokracji politycznej i normalnej wybieralności władz. Gomułka obawiał się, że naród polski po stracie Kresów Wschodnich przez kilka pokoleń będzie żywił uprzedzenia antyradzieckie i da im wyraz w wyborach. Grozić to będzie konfliktami i nawet utratą części ziem zachodnich. Liberalizacja była bezpieczna, choć bardzo drażniła naszych „ościennych" – jak ich nazywał prymas Wyszyński.

Liberalizacja niestety ułatwiała też konflikty społeczne; bez niej nie byłoby festiwalu Solidarności. Jaruzelski był zmuszony wprowadzić stosunkowo łagodny stan wojenny, aby zapobiec radzieckiej interwencji. Obronił nie tylko niezawisłość, ale też liberalizację i w zmieniającej się sytuacji geopolitycznej poprzez Okrągły Stół otworzył pokojową drogę do transformacji ustrojowej. Niestety, późniejsze rządy posolidarnościowe nie mogły mu wybaczyć tego sukcesu i do śmierci ścigały po sądach.

Bliżej Finlandii

Uzależnienie Polski od Związku Radzieckiego było konsekwencją II wojny światowej, swoistą ceną za wyzwolenie spod hitlerowskiej okupacji, która w Polsce pochłonęła ponad 5 mln ofiar. W systemie ustanowionym przez zwycięskie mocarstwa porozumieniem w Jałcie Związek Radziecki został otoczony strefą wpływów i wieńcem państw zależnych.

Były jednak mniej i bardziej uciążliwe formy tego uzależnienia. Od finlandzkiego do mongolskiego. Od ograniczonego do polityki zagranicznej i wojskowej do daleko posuniętego poddaństwa. Można powiedzieć, że Polska Ludowa w rezultacie zwrotu październikowego w 1956 r. na połowę drogi zbliżyła się do najmniej uciążliwego modelu „finlandyzacji". Gomułce i jego następcom udało się przeprowadzić polską państwowość przez trudny okres zimnej wojny w sposób łagodniejszy niż większości krajów regionu. Można spodziewać się, że historia – w odróżnieniu od obecnie rządzącej prawicy posolidarnościowej – zapisze to na dobro tej formacji.

ANDRZEJ WERBLAN

eprasa.pl e8f39059d9

Cnota czy koryto?

Wystarczy na popiskujące koło



Rys. HENRYK CEBULA

Już za rok wybory parlamentarne. Niezwykle ważne. Jesteśmy w stanie „przedwojnia" wywołanym wojną w Ukrainie. Zapowiadającą się na wieloletnią, mrożoną okresowymi rozejmami. Jesteśmy w stanie kryzysu paliwowego wywołanego niekończącymi się wojnami na Bliskim Wschodzie. A także w stanie wojen celnych i handlowych. Odgrzał je prezydent Trump, inni podchwycili. Mamy jeszcze kryzys Unii Europejskiej. Kierowanej przez generałów „minionych wojen".

Dziś karierę robi ubiegłowieczny aforyzm Antoniego Gramsciego. O tym, że stare ciągle umiera, nowe jeszcze się nie narodziło. Dlatego mamy teraz czas potworów. Ślicznie nam strachy objaśniający, ale wszystkiego niewyjaśniający.

Dla kogo jutro

Polskie elity głośno marzą o silnej Polsce z mocną pozycją w grupie 20 najbogatszych państw świata. I choć polski PKB ciągle rośnie, to polskie elity polityczne intelektualnie i mentalnie tkwią w minionym wieku. Polską publicystyką polityczną dalej rządzą trumny Dmowskiego, Piłsudskiego i dodawana do nich Edwarda Gierka. Patronują one politycznej wojnie polsko-polskiej. Dwóch zwaśnionych plemion. Ponieważ oba, wraz z sojusznikami, mogą zebrać w wyborach po prawie 50 proc. oddanych głosów, to o uzyskaniu lub utrzymaniu władzy w Polsce zdecydować może 2 proc. wyborczych głosów. Oddanych przez politycznych idiotów. Tych „pożytecznych" w sensie leninowskich, naturalnych i agenturalnych. Nie są to niestety sprawni intelektualnie radykalni konserwatyści ani radykalni lewicowi postępowcy.

To mieszanka płaskoziemców, antyszczepionkowców, katolickich ultrasów i fanów narodowofaszystowskiego socjalizmu. Lgnących teraz do Korony Polskiej Grzegorza Brauna. Oni po przyszłorocznych wyborach parlamentarnych posiadać mogą złotą akcję decydującą o parlamentarnej większości.

Sukcesu wyborczego braunowców nie chce prezes Kaczyński, liderzy Konfederacji, Rozwoju Plus i prezydent Nawrocki. Nadal próbują oskubać ich z wyborców, proponując podobne hasła wyborcze, autorytarny styl rządzenia, opakowany w przewidywalnych polityków.

Dla ekipy premiera Tuska wizja współrządzących faszystów to szansa na zmobilizowanie prodemokratycznych wyborców i dyscyplinowanie koalicjantów. I zachęta do marszu na prawo, do autorytarnych rządów. Można rzec, że polski faszyzm ma już sukcesy. Narzucił innym narodową frazeologię i akceptację autorytarnych rządów.

Kupa lewic

Stawką przyszłorocznych wyborów parlamentarnych będzie nie tylko los koalicji Tuska. Mogą one przyśpieszyć umieranie okrągłostołowej III RP. Ukształtowanej na inteligenckim, demokratycznym etosie, fascynacji Unią Europejską, respekcie wyroków trybunałów i sądów i zbalansowanej władzy premiera i prezydenta. Zachęcić do tworzenia silnego ośrodka władzy dla silnych ludzi. Gotowych do podporządkowania sobie trybunałów, sądów, parlamentu, sejmików samorządowych, biznesowych korporacji, związków zawodowych i przede wszystkim mediów. Dla tworzenia wizji silnej Polski.

Te wybory będą plebiscytem między dwiema wizjami. Państwa demokracji parlamentarno-gabinetowej, zakotwiczonego w Unii Europejskij, liberalnego obyczajowo, socjalnie bezpiecznego, coraz bardziej świeckiego. Albo zmierzającego do silnej władzy prezydenta. Strażnika dumy, honoru, wiary i tradycyjnych wartości narodu. Opiekuna narodowej gospodarki. Dbającego, aby cały naród, nawet ci najsłabsi, biedy w Polsce nie zaznali.

Powszechnie wiadomo, że obowiązujący u nas system liczenia mandatów poselskich oraz różna liczba mandatów w okręgach wyborczych preferują listy wyborcze, które osiągają wysokie poparcie wyborców i najwyższą różnicę między ich wynikiem a wynikami konkurentów. Zwycięzca, który uzyska wysoką przewagę, pasie się na klęskach konkurencji.

Po wyborach 2015 r. PiS mógł samodzielnie rządzić, bo lewicowa koalicja nie przekroczyła progu wyborczego i było więcej mandatów do podziału. Najbardziej niesprawiedliwy jest system dla list wyborczych, które jedynie przekroczą pięcioprocentowy próg wyborczy, ale nie uzyskają poparcia wyższego niż 10 proc. Bo nie biorą udziału w podziale mandatów w okręgach niskomandatowych. W Polsce mamy 41 okręgów wyborczych. Najmniejszy częstochowski to siedem mandatów. Największy warszawski oferuje 20. To sprawia, że wynik na poziomie 6 proc. poparcia może dać reprezentację 5–6 parlamentarzystów. Wystarczy ich na popiskujące koło poselskie, ale na współrządzący sejmem klub parlamentarny już nie.

Górą czy doliną

Przyszłoroczne wybory będą ważne dla przyszłości polskiej lewicy. Wpierw będzie się musiała zdeklarować. Nie tylko, kto z kim i na jakiej liście. Także opowiedzieć się w plebiscytach wartości. Jednoznacznie, bez niuansowania, bo nie da się stać z boku lub być okrakiem na barykadzie. W przyszłorocznym plebiscycie lewicowi kandydaci i głosujący na nich wyborcy będą musieli decydować, kto i co jest mniejszym złem. Które wybrać i jak przekonać do takiej decyzji lewicowy elektorat. Pierwszym będzie plebiscyt: libki z Koalicji Obywatelskiej czy faszyści z narodowo-katolickiej opozycji?

Czy mam oddać głos na prokoalicyjną Nową Lewicę, bo wtedy dalsze rządy libków będą mniej wstrętne niż prawicowa koalicja z naziolami od Brauna? A może poprę partię Razem, nieuczestniczącą w tym sporze? Okłamując się, że taki wybór wyklucza jednoczesne wsparcie nazioli.

Trzeba będzie zdecydować, czy oddam głos na partię Razem lub Nową Lewicę, które akceptują obce lewicowym wartościom wydatki na zbrojenia. Kosztem oświaty, nauki, zdrowia publicznego. Czy oddam głos na mikroskopijne lewicowe pacyfistyczne inicjatywy? Przypomnę sobie „rżnij karabinem w bruk ulicy" i oddam głos na pacyfistów. Zapominając, że dam też poparcie dla rwących się do władzy nazioli.

Zapewne w czasie kampanii wyborczej pojawią się postulaty nawiązania relacji z Rosją. Były i są popularne w dyskusjach lewicy internetowej. Postulaty generalnie słuszne, nie można udawać, że rosyjskiego sąsiada nie ma. Problem lewicy polega na tym, że hasła te zmonopolizowali braunowcy. A w Rosji nie ma poważnego lewicowego partnera politycznego postulującego taką współpracę.

Na pewno w czasie kampanii wyborczej pojawią się dyskusje o relacjach z państwem ukraińskim i Ukraińcami zamieszkałymi w Polsce. Nowa Lewica i Razem dość zgodnie deklarują proukraińskość. Wydawałoby się, że sporu nie ma, gdyby nie weterani SLD skupieni w fanklubie Leszka Millera. Ci każdą jego antyukraińską krytykę oklaskują, bronią go przed proukraińskimi krytykami. Robi się środowiskowy szum.

Pewnie pojawi się też temat niemiecki. Obie obecne w sejmie partie lewicowe są przeciwko antyniemieckiej histerii wzniecanej przez narodowo katolicką prawicę. Za to wśród lewicy internertowej mnożą się lajki dla „antysystemowej, antywojennej" AfD. Postulaty, że skoro niemiecka radykalna lewica gdzieś tam już współpracuje z AfD, to czemu polska lewica sekuje tych „prawdziwych antysystemowców". Znów będzie podbijanie emocji.

Dziecięce rozterki

Fundamentalnym tematem sporu między dwiema największymi partiami lewicowymi będzie obecny i przyszły udział w koalicji rządzącej. Nowa Lewica ma na swą obronę przygotowaną długą listę swych dokonań. Pisałem o niej niedawno w felietonie „Dni, których jeszcze nie znamy" („NIE", nr 39/2026). Partia Razem uważa, że Nowa Lewica osiągnęła za mało. Trzeba dbać o programowy maksymalizm. Cierpliwie budować poparcie wyborcze i reprezentację parlamentarną. Nie ustępować.

Posłanka Marcelina Zawisza w wywiadzie dla „Dziennika Gazety Prawnej" zaprezentowała taką nieugiętość. Albo się zachowuje wszystkie lewicowe wartości i cnoty, jak partia Razem, albo popada, jak Nowa Lewica, w zwyczajne „koryciarstwo". Wyprzedaż lewicowych ideałów za ministerialne stołki i posady dla partyjnych działaczy. Alternatywa „koryto czy cnota" popularna jest wśród młodej lewicy. To echo polskiego, szlacheckiego honoru.

Bylem posłem, politycznym zapleczem rządów SLD w latach 1999–2005. Ministrem, wiceministrem, nawet dyrektorem nie zostałem. Pomimo tego uważam, że bycie ministrami to nie tylko finansowe koryto. To także fachowy trening. System wychowywania lewicowych kadr do rządzenia.

Wyobraźmy sobie, że bóg, który powinien być lewicowy, zsyła partii Razem wygraną. Kto wtedy tworzy lewicowy przełomowy rząd? Liderzy, którzy nigdy nie skalali się pracą w administracji? Ministrowie wynajęci z agencji outsourcingowej?

Przyszłoroczne wybory parlamentarne będą plebiscytem o przyszłość Polski. Potem nastąpi jej wykuwanie. Przyszłość już zapowiada koniec korzystnych dla polskiej gospodarki pieniędzy z funduszy spójności Unii Europejskiej. Kumulację wydatków na zbrojenia. Groźbę niestabilnych rządów mniejszościowych. Pokusy autorytarnych rządów. Pomimo tego polska lewica dzieli swe siły i elektoraty. To najskuteczniejsza droga do samomarginalizacji.

PIOTR GADZINOWSKI

Nie karmić trolla

Kurtyzana i prawicowe strategie

– Rozmawiam z dziennikarzami, a nie kurtyzanami – powiedział poseł Konrad Berkowicz dziennikarce TVP Justynie Dobrosz-Oracz, odpowiadając na zadane przez nią pytanie dotyczące odbywania przez niego służby wojskowej. „Dno" – skwitowała wyskok sejmowego kolegi minister edukacji Barbara Nowacka. „Konfiarzom mało było ataku posła Mentzena na policjantki, to prostak Berkowicz wulgarnie atakuje dziennikarkę TVP. Chamstwo do kwadratu" – żołądkował się Marcin Kierwiński. Paweł Bliźniuk i Maciej Tomczykiewicz z KO złożyli wniosek do Komisji Etyki Poselskiej o ukaranie Berkowicza. Bliźniuk napisał w sieci, parafrazując kapitana Wagnera z filmu „CK dezerterzy", że nie ma w słowniku ludzi kulturalnych słów, które mogłyby dostatecznie obelżywie określić jego postępowanie. „Przekroczyłem nieprzekraczalne granice. Przepraszam wszystkie kurtyzany" – skwitował aferę sam Berkowicz na X. Kilka dni wcześniej opublikował tam wideo uderzające w krakowską działaczkę partii Razem Aleksandrę Owcę. Film, który miał być ironiczną zachętą do głosowania, został zilustrowany sceną zoofilską z gwałtu na zwierzęciu. „Zagłosuj na Owcę od Zandberga, ale tylko… Raz kozie śmierć" – napisał polityk.

Teksty Berkowicza to nie stare dobre chamstwo, a chłodna polityczna kalkulacja. Wszyscy, którzy pieją z oburzenia, dali zrobić się jak dzieci. Tak właśnie działa rage baiting.

Asymetria oburzenia

Zastosowana przez posła Konfederacji technika to celowe publikowanie lub wygłaszanie skrajnie kontrowersyjnych albo zwyczajnie bezczelnych opinii, aby wywołać silne emocje. Trzeba pamiętać, że w świecie algorytmów internetowych gniew jest jedną z najbardziej angażujących emocji. Gdy ludzie są wkurwieni, chętniej wchodzą w dyskusję, komentują i udostępniają materiały, to natomiast drastycznie zwiększa zasięgi danej osoby. Seksistowski rage bait Berkowicza wywołał gigantyczny opór po stronie liberalno-lewicowej i potężny aplauz antyfeministycznej bańki konfederackich sympatyków.

Sukcesu medialnego natychmiast pozazdrościł posłowi dziennikarz Łukasz Warzecha, który napisał na X: „Panie Barbara Nowacka, Paulina Henning-Kloska, Urszula Sara Zielińska, Magdalena Sobkowiak, Agnieszka Dziemianowicz-Bąk, Magdalena Biejat… Bardzo lubię pracować z kobietami. Bardzo cenię sobie damskie towarzystwo. Dlatego jest mi przykro, że lider obozu władzy, pan Tusk, z powodu jakichś swoich szowinistycznych przekonań, postanowił wyeksponować na najważniejszych stanowiskach kobiety, których sumaryczne IQ w porywach sięga może 100 punktów. Co mu te kobiety zrobiły?". Wpis z miejsca zgarnął 2 tys. polubień.

Partie i publicyści prawicowi walczą w internecie o uwagę młodych mężczyzn. Badania socjologiczne w wielu krajach pokazują rosnący rozdźwięk między młodymi ludźmi. Kobiety masowo skręcają w lewo, a młodzi mężczyźni poszkodowani (wedle własnego mniemania) przez współczesne zmiany społeczne chętniej popierają prawicę.

Obrzygiwanie kobiet w mediach trafia do radykalnej części prawicowych wyborców, budując poczucie wspólnoty opartej na sprzeciwie wobec emancypacji kobiet.

Odzywka Berkowicza do dziennikarki to wypisz wymaluj tzw. dead cat strategy – strategia martwego kota. Termin spopularyzował australijski strateg polityczny Lynton Crosby. Polega na „rzuceniu martwego kota na stół", czyli wprowadzeniu tak szokującego, kontrowersyjnego lub wyjętego z dupy tematu, że wszyscy zaczynają o nim rozmawiać, a wcześniejsze wpadki polityka lub niewygodne kwestie znikają z pierwszego planu.

Seksistowskie, obelżywe teksty wymierzone w kobiety to stały element strategii politycznej populistów i polityków prawicowych. Wyskok konfederackiego posła wydaje się ekstremalny, ale jeśli spojrzeć na zagranicznych polityków, Berkowicz ma jeszcze mleko pod politycznym nosem.

Dziaderskie nasienie

Absolutnym pionierem politycznego rage baitingu jest Donald Trump. W 2015 r. dziennikarka Fox News Megyn Kelly podczas debaty zadała politykowi ostre pytanie o wcześniejsze obraźliwe wypowiedzi na temat kobiet. Trump w późniejszym wywiadzie dla CNN zasugerował, że stanowcza postawa Kelly wynikała z menstruacji. „Widzieliście to, krew ciekła jej z oczu, krew ciekła jej… zewsząd" – powiedział Donald Trump. Wybuchł skandal. Polityk zyskał miliardowe zasięgi medialne za darmoszkę, a krytykę odpierał, mówiąc, że miał na myśli jej nos lub uszy i że to lewica ma brudne myśli.

eprasa.pl e8f39059d9

Wolność po konfederacku

Zapałki do rozpalania nienawiści

Powiedzmy to sobie bez eleganckiej retoryki: jeśli siedzisz z ludźmi przy stole i nagle puszczasz bąka, to korzystasz ze swojej swobody. Bo chcesz, a technicznie możesz. Płuca, jelita, konstytucja – żadne nie stoją na przeszkodzie. Ale nie korzystasz z wolności. Wolność zaczyna się tam, gdzie rozumiesz, że inni przy stole nie są ani dekoracją dla twojej fizjologii, ani polem do demonstracji twojej libertariańskiej filozofii.

Swoboda mówi: „mogę". Wolność pyta: „mógłbym, ale co to zrobi drugim?". Granicą wolności nie jest aktualny humor policjanta ani zły dzień księdza. Są nią krzywda, upokorzenie, cudze prawo do własnego życia. To dlatego nie wolno bić dzieci, wyrzucać człowieka z mieszkania bez powodu, zatruwać rzeki, zmuszać kobiety do rodzenia ani zakazywać dorosłym ludziom układania sobie życia. Nie dlatego, że państwo ma nas trzymać na smyczy. Właśnie odwrotnie: dlatego, że bez tych granic jedni zamieniają drugich w przedmioty – nieistotne tło dla własnego ego.

Na pytanie o powód swej decyzji wyborcy Konfederacji najczęściej odpowiadają: „bo oni są za wolnością". Konfederacja – nie cała i nie w każdej sprawie, bo polityka bywa bardziej złożona niż mem z Mentzenem – dokonuje tu sprytnej podmiany. Sprzedaje swobodę silniejszego jako wolność wszystkich. A to są dwie różne rzeczy.

Swoboda właściciela fabryki, by dyktować płacę i grafik, nie daje wolności człowiekowi, który ma czynsz dziesiątego, dziecko z gorączką i konto obciążone kredytem.

„Dobrowolna umowa" między właścicielem firmy i kapitału a pracownikiem jest dobrowolna mniej więcej tak jak wybór kupna cegłówki za stówkę na ciemnej ulicy.

Lekarstwo gorsze od choroby

Nie musi ci się podobać państwo duopolu. Mnie też nie. Przez ćwierćwiecze obie strony tego równania produkowały idiotyczne zagrywki dla zdobycia władzy, protekcję dla swoich, język pogardy dla uchodźców i przekonanie, że obywatel jest petentem, a petent ma być wdzięczny, że formularz ma tylko siedem stron. Młody człowiek, który chce uciec od tego dusznego porządku, nie jest ani głupi, ani podejrzany. Ma dość. Ma prawo mieć dość.



Tylko że Konfederacja podaje mu lekarstwo gorsze od choroby, a on łyka je jak kaczka piskorza. Bo lekarstwo konfederackie nie likwiduje władzy nad człowiekiem. Ono zmienia tylko właściciela władzy: mniej instytucjonalnej kontroli, więcej kapitału. Mniej zasad i standardów prawa, a więcej wolnej woli patriarchy, kaznodziei i partyjnego krzykacza z własnym kanałem.

Prawdziwa wolność pracownika nie polega na tym, że wolno mu przyjąć każdą pracę za jak najniższe uposażenie. Polega na tym, że może odmówić pracy poniżej godności i poniżej godziwej płacy. Dlatego związki zawodowe, kodeks pracy, publiczna szkoła, mieszkanie dostępne za ludzką cenę i ochrona zdrowia nie są wrogami wolności. Są jej podstawą – gruntem, po którym stąpasz. Bez tego gruntu swoboda przedsiębiorcy staje się dla pracownika prawem do wyboru między uległością a osobistą katastrofą. Niewolą zamiast wolności.

Minimalne państwo dla firm, maksymalne dla macic

A teraz spójrzmy na Konfederację z innej strony. Zobaczmy jej konserwatywne oblicze. Może w nim kryje się źródło wolności? W pakiecie „100 ustaw Mentzena", firmowanym jego nazwiskiem, projekt nr 45 przewidywał od roku do 10 lat więzienia za „spowodowanie śmierci dziecka poczętego" i usuwał ówczesne przesłanki legalnej aborcji. Przy ciąży z gwałtu projekt nie dawał kobiecie prawa do decyzji; pozwalał sądowi odstąpić od wymierzenia jej kary. Łaskawy sąd zamiast wolnej obywatelki. To mniej więcej tak jakby nazwać wolnością prawo do niepójścia do więzienia, jeśli strażnik ma dobry humor.

W kwietniu 2024 r. wszyscy głosujący posłowie Konfederacji poparli odrzucenie w pierwszym czytaniu projektów liberalizujących prawo aborcyjne. Państwo ma zatem nie ugniatać przedsiębiorcy, ale ma móc usiąść kobiecie na brzuchu. Minimalne państwo? Owszem: minimalne dla firm, maksymalne dla macic. Na drzwiach do mojego biura poselskiego w Krakowie codziennie ktoś – nie mam wątpliwości, kto – przylepiał nalepkę z tekstem „aborcja to morderstwo". Chroniąc swoją wolność wypowiedzi i nie naruszając niczyich praw, dopisałam kiedyś flamastrem: „a onanizm to holokaust". Dziwne, ale zadziałało.

Przy projekcie „Stop LGBT" siedmiu z 10 obecnych posłów Konfederacji zagłosowało przeciw jego odrzuceniu w pierwszym czytaniu. Projekt miał – całkiem jak u Putina – zakazywać zgromadzeń promujących małżeństwa osób tej samej płci, adopcję przez takie pary, orientacje inne niż heteroseksualna czy akceptację dla osób transpłciowych. Oto konfederacka wolność – wolność pod warunkiem przestrzegania konfederackiej etyki wykluczania.

Tu zresztą warto być uczciwym: Mentzen opowiadał się za uchyleniem przepisu o obrazie uczuć religijnych. To akurat jest stanowisko wolnościowe. Tyle że jedna liberalna cegła nie zamienia budynku w dom otwarty. Zwłaszcza gdy obok ktoś projektuje zakaz zgromadzeń dla mniejszości, kryminalizację decyzji o ciąży i państwowy nadzór nad intymnością. Wolność ma wtedy charakter abonamentu: podstawowy pakiet jest dla swoich i „przepisowo" konserwatywnych; reszta ma być nieobecna.

Wolność na abonament

Dalej jest jeszcze zabawniej. 29 maja tego roku wszyscy posłowie Konfederacji w liczbie 12, którzy wzięli udział w głosowaniu, poparli odrzucenie projektu o statusie osoby najbliższej w związku i umowie o wspólnym pożyciu, a potem zagłosowali przeciw jego uchwaleniu. Dobrowolna umowa dorosłych ludzi o wspólnym życiu, majątku i odpowiedzialności okazała się dla konfederackiej ekipy groźna. Na rynku wolno podpisać papier, przez który bank będzie człowieka grillował przez 20 lat. Ale jeśli dwie osoby chcą się umówić, że będą mogły odwiedzić się w szpitalu i dziedziczyć po sobie, to rynek nagle ma nudności moralne.

A przecież dla partii politycznej rynek działa znakomicie. Konfederacja przedstawiła projekt ustawy o ochronie „demokratycznej debaty publicznej" w internecie: duża platforma, która usunęłaby stronę albo wpis organizacji politycznej, mogłaby dostać od Państwowej Komisji Wyborczej karę do 50 mln zł. Obywatelowi zostaje regulamin Mety, automat i przycisk „odwołaj się"; partia otrzymuje młotek wart 50 mln. Własność prywatna jest święta, póki prywatny właściciel nie wyprosi konfederackiego gościa z własnego salonu.

W pakiecie Mentzena znajdowało się też przyzwolenie na „lekkie kary cielesne", a sam Mentzen później bronił prawa rodzica do klapsa. Była rzeczniczka Konfederacji Anna Bryłka objaśniała, że klaps to „żadna przemoc". Nie wiem, jak wygląda przemoc w tej metafizyce. Dziecko jest jednak osobą, nie prywatnym kawałkiem rodzicielskiej własności. I właśnie dlatego prawo zakazuje kar cielesnych. Nie powstrzymało jednak zbirów, którzy niegdyś podpalili schody w moim pełnym ludzi biurze poselskim w Krakowie.

Gaśnica w sejmie

Do pełnego obrazka trzeba dodać Brauna. W grudniu 2023 r., jako poseł Konfederacji, zgasił w sejmie świece chanukowe gaśnicą. Potem formalnie wyleciał z partii, ale polityczna fotografia nie znika po wyrzuceniu ramki. Wolność religii nie polega na tym, że większość łaskawie toleruje mniejszość, póki jest cicha i nie zapala świec. Polega na tym, że jej rytuał jest równie bezpieczny jak rytuał większości. Braun przyniósł do tej dyskusji gaśnicę. Reszta tego środowiska latami przynosiła zapałki do rozpalania nienawiści.

Pamiętasz słynną „piątkę" Mentzena z 2019 r.: „Nie chcemy Żydów, homoseksualistów, aborcji, podatków i Unii Europejskiej". Można po latach dopowiadać przypisy, zmieniać ton, udawać, że chodziło o subtelną debatę fiskalną. Nie zmieni to prostego faktu, że zdanie zaczynało się od „nie chcemy" i obejmowało ludzi. Nie zmieni to także faktu, że w 2019 r. wypowiedź ta nie mogła mieć związku z obecną faszystowską polityką Izraela. Dla libertarianina osoba powinna być podmiotem. Dla tej retoryki bywa elementem, który trzeba z kraju, szkoły, łóżka albo debaty jakoś uprzątnąć.

Nie mówię ci więc: kochaj obecne elity, ciesz się formularzem i wielbieniem rynku przez tuskowców i kaczystów. Mówię: nie myl lekarstwa z trucizną tylko dlatego, że lekarz miał arogancką minę. Jeśli chcesz mniej władzy nad sobą, nie wybieraj polityków, którzy marzą o większej władzy przedsiębiorcy nad pracownikiem, rodzica nad dzieckiem, prokuratora nad kobietą, większości nad mniejszością i partii nad prywatną platformą.

Gaśnica nie jest latarką. Można ją unieść wysoko, zrobić wokół niej marsz i przykleić etykietę „wolność". Ale gdy przychodzi co do czego, ona nie oświetla drogi. Ona gasi cudze światło.

ANNA GRODZKA

J.D. Vance, atakując Kamalę Harris i inne polityczki Partii Demokratycznej, stwierdził, że USA są rządzone przez „bandę bezdzietnych kociar, które są nieszczęśliwe we własnym życiu i chcą, by reszta kraju też była nieszczęśliwa". Zassało idealnie. Vance był na ustach wszystkich, a baza wyborców jego i Trumpa dostała sygnał, że politycy bronią „tradycyjnych rodzin" przed liberalnymi elitami.

Były prezydent Filipin Rodrigo Duterte podczas wiecu wyborczego w Quezon City skomentował sprawę buntu w więzieniu Davao z 1989 r., podczas którego więźniowie zgwałcili i zamordowali australijską misjonarkę Jacqueline Hamill. Polityk stwierdził, że ofiara była tak piękna, że jako burmistrz miasta „powinien być pierwszy" w kolejce. Światowy komentariat wył z oburzenia, a Duterte zyskał absolutną dominację w przestrzeni medialnej. Jego sztab tłumaczył to potem „męskim humorem" i „językiem prostego ludu", co ostatecznie pomogło mu wygrać wybory.

Były prezydent Brazylii Jair Bolsonaro, zwracając się do posłanki Marii do Rosario w parlamencie, wykrzyczał: „Nie zgwałciłbym cię, bo na to nie zasługujesz. Jesteś bardzo brzydka". Skandaliczna wypowiedź wywołała gigantyczne demonstracje kobiet na ulicach Brazylii, ale zacementowała status Bolsonaro jako idola skrajnej prawicy.

Wszyscy ci politycy doskonale wiedzieli, że chamski atak na kobietę zmusi liberalne media do darmowego pokazywania ich twarzy przez kolejne tygodnie. Największą pułapką rage baitingu jest wejście w emocjonalną interakcję na warunkach agresora. Na szczęście syfiaste zagrania można skutecznie neutralizować.

Odwrócenie ról

Eksperci od marketingu politycznego i psychologii mediów podpowiadają, że istnieją różne strategie reagowania. Rage baiter chce się kreować na groźnego antysystemowca, który ma w pompie poprawność polityczną. Zamiast moralnego oburzenia, które jest paliwem dla prowokatora, lepiej go wyśmiać lub zlekceważyć. W przypadku Berkowicza świetnie zareagowała Agnieszka Dziemianowicz-Bąk. „Kultura to nie patelnia – nie ukradniesz" – skwitowała, przypominając incydent posła w Ikei, kiedy to zapomniał (he, he) zapłacić za zakupy. Temat na nowo podłapali internauci na X, przypominając wulgarną ksywkę, jaką nadali posłowi po zakupowej aferze, wskutek czego w sieci masowo zaczął krążyć termin „pizdokleszcz Berkowicz".



Druga technika to strategia szarej skały. Ofiara ataku kwituje chamski tekst jednym chłodnym zdaniem, po czym natychmiast wraca do sedna sprawy. Berkowicz rzucił obelgę, ponieważ Dobrosz-Oracz zapytała go, czy był w wojsku. Przez kolejne dni cała debata publiczna w kraju nad Wisłą kręciła się wokół słowa „kurtyzana". Politycy opozycyjni dali dupy. Zamiast wylewać gorzkie żale nad słomą z butów Berkowicza, powinni masowo, do twardego rzygu dopytywać, ilu posłów Konfederacji odbyło służbę wojskową.

Zamiast robić cyrk w mediach społecznościowych warto przenieść spór na poziom prawny i instytucjonalny. Justyna Dobrosz-Oracz zapowiedziała tłusty pozew przeciwko Berkowiczowi. Wsparła ją Monika Olejnik, która – jak się okazuje – również podała posła do sądu za rozpowszechnianie nieprawdziwych informacji na jej temat. Złożenie skargi do Komisji ds. Etyki Poselskiej przez posłów KO to właściwa reakcja, problem jednak polega na tym, że nawet nagana, czyli najwyższa kara, jaką może nałożyć komisja etyki, w rzeczywistości nie wiąże się z żadnymi konsekwencjami. Nie ma też limitu samych nagan. Posłanka Elżbieta Burkiewicz, przewodnicząca Komisji ds. Etyki Poselskiej, zapowiedziała już rozmowę z szefem Kancelarii Sejmu o zmianie regulaminu, żeby zamieścić w nim możliwość ucinania pensji albo nakaz stosowania publicznych przeprosin dla niepokornych posłów. Lepiej późno niż wcale.

W nadchodzących wyborach partie prawicowe zrobią wszystko, żeby wyszarpać sobie wyborców, repertuar będzie więc na pewno bogaty. Przed laty po sieci krążyło hasło „Nie karmić trolla!". Wciąż jest aktualne.

IDALIA DUBICKA

eprasa.pl e8f39059d9

Jak dyma się tradycyjne media i wydawców prasy

Treść wasza, cena nasza

Wyobraź sobie, Czytelniku, że napisałeś piosenkę. Wynająłeś studio, muzyków, producenta. Nagrałeś, wydałeś, próbujesz zarobić. Wtedy pojawia się wielka aplikacja muzyczna. Bierze twoją piosenkę, wrzuca ją do swojej usługi, dzięki niej zdobywa użytkowników, sprzedaje reklamy, zarabia miliony, a nazwisko autora gdzieś po drodze staje się technicznym szczegółem. Kiedy po pewnym czasie prawo przypomina aplikacji, że utwór do kogoś należy i trzeba za niego zapłacić, przedstawiciel platformy przychodzi do ciebie i mówi:

– Dam tysiąc złotych.

– Dlaczego tysiąc?

– Tak wyliczyliśmy.

– Skąd mam wiedzieć, czy tysiąc jest uczciwą ceną?

– Nie musisz. Negocjujmy.

Mniej więcej tego dotyczy komunikat Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów z 5 października. Urząd postawił czterem spółkom z grupy Google zarzuty możliwego nadużywania pozycji dominującej podczas negocjacji z polskimi wydawcami prasowymi. UOKiK nie orzekł jeszcze, że Google złamał prawo. Twierdzi natomiast, że negocjacje mogły być pozorne, ponieważ Google proponował wydawcom zapłatę za korzystanie z ich publikacji, ale nie przekazywał danych pozwalających sprawdzić, skąd wzięła się proponowana kwota.

Internet stworzył przyjemne złudzenie, że informacja po prostu istnieje. Jeżeli zawalił się most, ktoś musi tam pojechać. Ktoś musi zrobić zdjęcie, porozmawiać ze świadkami, zadzwonić na policję, przeczytać decyzję nadzoru budowlanego, sprawdzić, kto remontował, a potem napisać tekst tak, żeby Czytelnik wiedział, co się wydarzyło. Jeżeli rząd zmienia ustawę, ktoś musi przeczytać kilkadziesiąt stron projektu, zadzwonić do prawnika i zapytać, co z tego wynika. Jeżeli wybucha wojna, ktoś naprawdę jedzie na miejsce, w które rozsądny człowiek nie chciałby jechać. Tradycyjne media produkują coś bardzo starego: oryginalną informację. To kosztuje prawdziwe pieniądze.

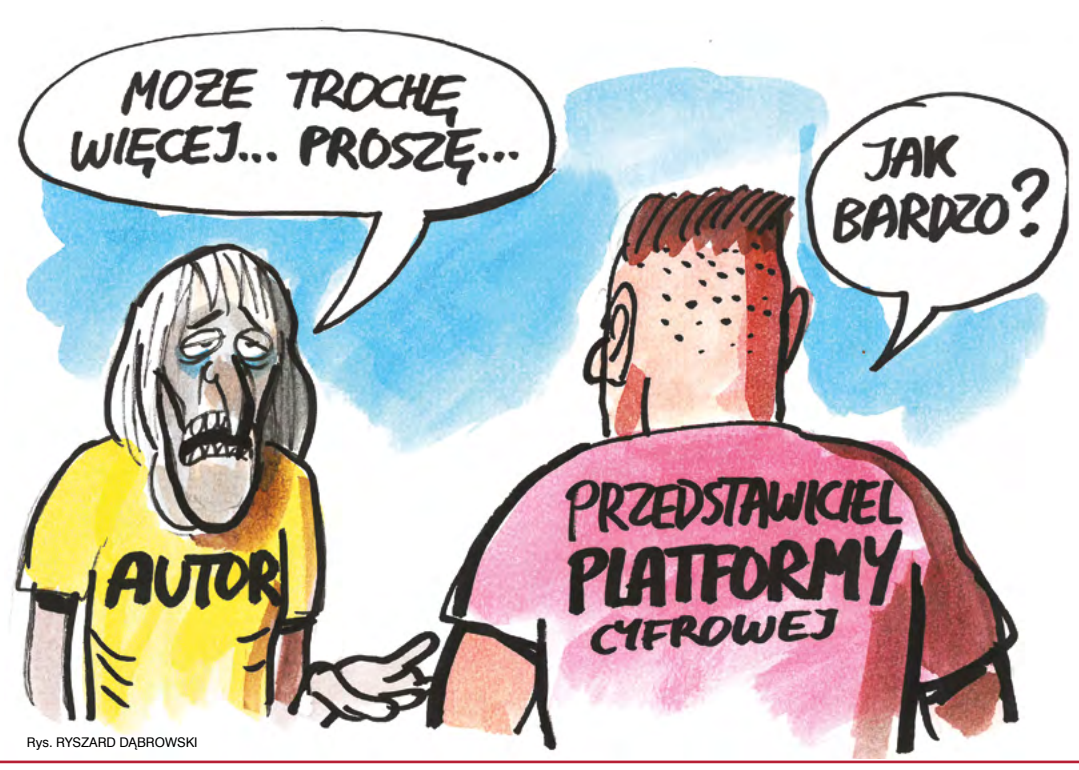
Google robi coś innego. Bierze treść, indeksuje ją, wybiera najważniejsze fragmenty i podaje użytkownikowi w wygodnej formie. Modele AI potrafią zrobić jeszcze więcej: przeczytać 20 takich tekstów, wyciągnąć z nich informacje i stworzyć odpowiedź tak wygodną, że użytkownik może już w ogóle nie odwiedzić stron, na których powstały źródłowe materiały. To świetna usługa. Tylko nie należy mylić świetnego sposobu podania obiadu z jego ugotowaniem i zapłaceniem za składniki.

Teoretyczny model współpracy Google z tradycyjnymi mediami jest bardzo piękny. Gazeta tworzy treść, Google ją znajduje, użytkownik widzi ją w wyszukiwarce, klika link i przechodzi na stronę gazety. Google ma ruch i reklamy, gazeta dostaje czytelnika i również może sprzedać reklamę albo abonament. Synergia i partnerstwo. Brakuje tylko slajdu przedstawiającego ludzi trzymających się za ręce. Problem polega na tym, że kiedy przejdziemy od teorii do praktyki, widać, że jeden partner pracuje i płaci, a drugi zarabia.

Alphabet, właściciel Google, tylko w pierwszym kwartale 2026 r. osiągnął prawie 110 mld dol. przychodów, o 22 proc. więcej niż rok wcześniej. Tymczasem amerykański rynek lokalnej prasy stracił od 2005 r. netto ponad 3 tys. gazet. Zostało mniej niż tysiąc drukowanych dzienników. Nawet należący do Jeffa Bezosa „Washington Post" ogłosił w lutym 2026 r. ogromne cięcia obejmujące mniej więcej jedną trzecią zatrudnionych. W Polsce jest podobnie – Agora systematycznie ogłasza zwolnienia grupowe. W prasie drukowanej w Polsce spada wszystkim.

Nie wszystkiemu winny jest oczywiście Google. Internet zmienił nawyki ludzi: ogłoszenia uciekły do osobnych serwisów, czytelnicy przeszli do social mediów, tradycyjne media były źle zarządzane. Ale trudno nie zauważyć ekonomicznego paradoksu:

jedna strona ponosi gigantyczne koszty stworzenia informacji, a druga ma niemal zerowy koszt ich skopiowania, zindeksowania i pokazania kolejnemu użytkownikowi.



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

Dlatego Unia Europejska przyjęła dyrektywę o prawach autorskich na rynku cyfrowym (tzw. Dyrektywa DSM), która przyznała wydawcom prawo do wynagrodzenia za komercyjne wykorzystywanie publikacji prasowych przez internetowe platformy i agregatory treści. Polska dwa lata temu wdrożyła zapisy do prawa autorskiego.

Google może więc korzystać z fragmentów artykułów i pracy mediów, ale powinien uzgodnić z wydawcami warunki i wynagrodzenie. Co więcej, prawo nakazuje platformie przekazać informacje potrzebne do ustalenia tej ceny. Jeżeli strony nie potrafią się dogadać, wysokość wynagrodzenia może ustalić prezes Urzędu Komunikacji Elektronicznej.

Na papierze wygląda dobrze. Ale negocjacje między Google a wydawcami przypominają rozmowę Olivera Twista z władzami przytułku: jedna strona ma garnek, chochlę i klucze do spiżarni, druga pustą miskę i pyta, czy może dostać trochę więcej.

Państwo mówi obu stronom: „proszę ustalić uczciwą cenę". Jedna strona ma produkt, który już oddała. Druga ma ogromne pieniądze, wszystkie dane o rynku oraz ogromny dział prawny. Obie strony formalnie są równorzędnymi negocjatorami.

Do tego dochodzi rzecz banalna: czas nie dla wszystkich kosztuje tyle samo. Google może negocjować latami cenę za rzecz, którą już wziął i na razie nie zapłacił. W tym czasie wydawca co miesiąc musi wypłacić pensje dziennikarzom, zapłacić za papier, druk i kolportaż. Głodnemu trudno targuje się o cenę jedzenia.

I właśnie w tym miejscu wszedł UOKiK. Urząd twierdzi, że Google proponował wydawcom konkretne stawki, ale nie przedstawiał wymaganych prawem danych o sposobie wykorzystywania publikacji, związanych z nimi przychodach ani parametrów użytych do kalkulacji. Wydawca miał więc negocjować cenę własnego produktu, nie wiedząc, ile produkt jest wart dla kupującego i jak kupujący obliczył swoją ofertę. UOKiK stwierdził oczywisty fakt, że nie da się prowadzić uczciwych negocjacji, kiedy jedna strona zna wszystkie liczby, a druga wie, że jej praca została wykorzystana, i tylko czeka na pieniądze.

Sam prezes UOKiK Tomasz Chróstny używa określenia „asymetria informacji" i uważa, że mogła ona zmienić negocjacje w procedurę prowadzącą do narzucenia warunków wydawcom. Google odpowiedział w komunikacie prasowym z wdziękiem monopolisty, że przecież negocjuje i podpisał już ponad 5 tys. umów na całym świecie, w tym 70 w Polsce. Prezes UOKiK zapowiedział zatem, że urząd przyjrzy się także tym podpisanym już umowom.

Za nadużycie pozycji dominującej Google może grozić kara do 10 proc. obrotu.

LEON ORŁOWSKI

Prezydent chce się dowiedzieć, czy Polacy potrafią strzelać do siebie równie skutecznie jak Amerykanie.

Spluwą silni

Karol Nawrocki wrócił ze Zgromadzenia Ogólnego ONZ w Nowym Jorku i niemal prosto z samolotu pojechał na otwarcie strzelnicy w Bogutach-Piankach na Mazowszu. Tam najwyraźniej amerykańska atmosfera jeszcze z niego nie wywietrzała, bo prezydent oznajmił: – Sama broń nie daje bezpieczeństwa. Bezpieczeństwo daje dopiero wyszkolony i odpowiedzialny człowiek, który tej broni używa.

Zdanie brzmi nawet rozsądnie. Tak samo rozsądnie można powiedzieć, że sam samochód nie powoduje wypadków. Nawrocki jednak na jednym zdaniu nie poprzestał. – Nawet w Unii Europejskiej Polska pozostaje na samym końcu. Tylko 1 proc. Polaków ma dostęp do broni. Ja szczęśliwie jestem w tym jednym procencie – oznajmił, po czym porównał nas z Czechami, Austrią i Finlandią i zaapelował o rozpoczęcie publicznej dyskusji nad dostępem do broni.

Wolność kalibru 9 mm

PiS usłyszało i zatrzęsło się z zachwytu. Parę dni później Czarnek obwieścił: – Nie chcemy, żeby Polacy byli rozbrojeni.

Partia postanowiła rozpocząć szerokie konsultacje, bo jej zdaniem obecny model dostępu do broni może zawierać zbyt wiele barier. Konsultować chce z żołnierzami, funkcjonariuszami służb, instruktorami, myśliwymi, strzelcami sportowymi oraz grupami rekonstrukcyjnymi. Ciekawe, że na liście nie znalazły się pogotowia ratunkowe, chirurdzy, specjaliści od przemocy domowej, psychiatrzy, rodzice dzieci zastrzelonych z broni znalezionej w domu albo Amerykanie, którzy od ponad dwóch stuleci przeprowadzają na sobie eksperyment pod tytułem „co się stanie, gdy broni będzie więcej niż ludzi". Ci ostatni mieliby Czarnkowi do powiedzenia całkiem sporo.

Amerykański eksperyment zaczął się 15 grudnia 1791 r., kiedy ratyfikowano drugą poprawkę do konstytucji USA chroniącą prawo ludu do posiadania i noszenia broni. Przez ponad dwa stulecia spierano się, czy chodzi przede wszystkim o broń związaną z obywatelską milicją, czy o indywidualne prawo każdego obywatela. W 2008 r. amerykański Sąd Najwyższy uznał, że jest to indywidualne prawo do posiadania broni niezależne od służby w milicji, zwłaszcza w legalnym celu, jakim jest samoobrona we własnym domu.

W rękach Amerykanów znajduje się około 393 mln sztuk broni. Wychodzi 120,5 giwery na każde 100 mieszkańców. Amerykanie uzbroili się liczniej, niż sami występują w przyrodzie. Oczywiście nie znaczy to, że każdy noworodek opuszcza porodówkę z Glockiem przy pieluszce. Mnóstwo Amerykanów nie ma żadnej broni, za to inni mają po kilka, kilkanaście albo kilkadziesiąt egzemplarzy. Dla porównania: w Polsce przypada 2,5 sztuki broni na 100 mieszkańców. Serbia ma ich 39,1, Finlandia – 32,4, a Szwajcaria – 27,6. W przeliczeniu na głowę Amerykanie mają zatem ponad 48 razy więcej broni niż Polacy.

Gdyby prawdziwa była dziecinna opowiastka, że im więcej uzbrojonych porządnych obywateli, tym bardziej boją się uzbrojeni nieporządni obywatele, USA powinny być najbezpieczniejszym miejscem w rozwiniętym świecie. Bandyta przed napadem powinien przecież trząść portkami. Właściciel sklepu ma pistolet, klient ma pistolet, facet kupujący bułki ma pistolet, jego żona ma pistolet, a być może pistolet ma również emerytka oglądająca pomidory. W tak uzbrojonym społeczeństwie przestępca powinien zastanowić się nad przekwalifikowaniem na księgowego.

Broń się, kto może!

Tyle że statystyka nie czyta prawicowych manifestów. Według WHO w 2023 r. współczynnik zabójstw w USA wynosił 7,4 na 100 tys. mieszkańców. W Kanadzie było to 0,8, we Francji – 0,72, w Polsce – 0,51, a w Japonii – 0,18. Czyli w kraju konstytucyjnego prawa do posiadania broni współczynnik zabójstw był ponad 14 razy większy niż w niemal rozbrojonej Polsce i przeszło 40 razy większy niż w Japonii.

Można oczywiście powiedzieć, że przecież nie każdego zabójstwa dokonuje się z użyciem pistoletu. I jest to argument świetny. Głównie dlatego, że gdy policzyć wyłącznie zabójstwa z broni palnej, Ameryka wypada jeszcze gorzej. W latach 2018–2022 broń palna występowała przy około 80 proc. wszystkich amerykańskich zabójstw. Wskaźnik śmiertelności z jej użyciem na szczęście spada, bo w 2021 r. wynosił 6,7 na 100 tys. mieszkańców, rok później – 6,2, w 2023 r. – 5,6, a w 2024 r. – 4,7.

Oczywiście Stany Zjednoczone nie są najbardziej morderczym krajem globu. Gorzej jest choćby w Meksyku, Brazylii, Kolumbii, Gwatemali, Ekwadorze czy Hondurasie. Kiedy jednak zamiast porównywać najbogatsze mocarstwo świata z państwami rozrywanymi przez kartele narkotykowe i gigantyczną przestępczość, zestawi się je z innymi zamożnymi krajami, czar pryska. USA mają najwyższy współczynnik zabójstw z użyciem broni palnej wśród rozwiniętych demokracji.

Broń nie musi wywoływać konfliktów, ona je za to kończy. Dwóch facetów bez pistoletów może pokłócić się o miejsce parkingowe, pierwszeństwo na drodze, porysowany samochód albo to, czy Legia jest lepsza od Lecha. Mogą się zwyzywać, dać sobie po mordzie. Jeden może wrócić do domu z podbitym okiem, drugi z wybitym zębem, a nazajutrz obaj mogą uznać, że zachowali się jak idioci. Gdy jeden z nich ma przy pasku pistolet, do całej procedury dochodzi jeszcze możliwość wykonania ruchu, którego następnego ranka nie da się już odwołać. W badaniu obejmującym 26 wysoko rozwiniętych państw stwierdzono silną i statystycznie istotną zależność – im większa dostępność broni palnej, tym wyższy był poziom zabójstw.

Bo argument, że pistolet w domu odstraszy włamywacza, ma również drugą stronę.

Złodziej, który zakłada, że właściciel mieszkania jest nieuzbrojony, może obawiać się złapania, pobicia, krzyku, psa albo przyjazdu policji. Złodziej przekonany, że niemal każdy gospodarz może sięgnąć po naładowaną spluwę, ma powód, żeby samemu wejść z bronią i strzelić jako pierwszy.

Ba, amerykańska federalna agencja ATF przeanalizowała 9708 zamkniętych federalnych śledztw dotyczących tego, jak broń trafia do nielegalnego obiegu. Jednym z mechanizmów była sytuacja, gdy człowiek mogący legalnie kupić broń nabywa ją dla osoby, która zrobić tego nie może. Do tego dochodzą kradzieże legalnie posiadanej broni oraz jej przemieszczanie między stanami. Wniosek jest banalny

eprasa.pl e8f39059d9

Zerwać zasłonę niewiedzy

O politycznej manipulacji władzy

Nie ma przypadków, są tylko znaki – twierdzą znawcy polityki. Ta maksyma przypomniała mi się, gdy próbowałam z krytycznym namysłem obserwować przypadki przemocy w polskich szkołach i informację o rzekomym zamachu na premiera Tuska i wicepremiera Kosiniaka-Kamysza.

Doszliśmy do takiego punktu, że cokolwiek się w kraju wydarzy, można mieć stuprocentową pewność, że będzie to wykorzystane przez rząd i opozycję do wzajemnego obrzucania się już nawet nie błotem, lecz zwykłym gównem. Każdy liczy, że uda się przeciwnika politycznego utopić w szambie oskarżeń o całe zło tego świata, że zawsze coś z tej brunatnej substancji się przylepi. A gdy rozum śpi, budzą się demony.

Podobno pośpiech jest wskazany wyłącznie przy łapaniu pcheł, lecz miłościwie rządząca uśmiechnięta koalicja uznała, że warto wykorzystać głośną falę agresji w polskich szkołach, zwłaszcza zaś tragedię na Mazowszu, gdzie 15-latek zadźgał nożem woźną. Premier zaatakował Nawrockiego za zawetowanie w styczniu ustawy, która miała pozwalać na szybkie blokowanie zakazanych i niebezpiecznych treści.

Sejm przegłosował, że sądy i właściwe organy będą mogły ograniczać dostęp do treści naruszających prawo, włącznie z oszustwami czy naruszeniami praw autorskich. Dostawcy usług internetowych i platformy społecznościowe będą musiały wykorzystywać takie decyzje. Użytkownik, którego treść będzie ograniczona, będzie mógł wystąpić o jej przywrócenie, odwołując się do sądu powszechnego.

Tusk podkreślił, że uchwalone w sejmie prawo ma chronić dzieci i dorosłych. Ustawę zachwalał wiceminister cyfryzacji Dariusz Standerski, mówiąc dziennikarzom, że dotąd nie ma mechanizmu szybkiego blokowania nielegalnych treści: „To takie przepisy Kodeksu Karnego jak zabójstwo, namawianie do samobójstwa, nielegalne prezentowanie treści pornograficznych. Takie rozwiązania są konieczne, bo widzimy, że przynajmniej w jednym z przypadków jeden ze sprawców ataku w szkołach miał nagrywać przebieg zdarzenia, by prawdopodobnie umieścić to później w Internecie. Sprawna, szybka reakcja mogłaby przeciwdziałać podobnym zdarzeniom”.

Niezawodny w takich razach Czarnek obwinił o tragedie w szkołach – a to ci niespodzianka! – Tuska, mówiąc: „To też jest ciekawe, dlaczego akurat po prawie trzech latach waszych rządów, największe nieszczęścia w szkołach są właśnie dzisiaj. Właśnie dzisiaj dzieci podnoszą ręce na dzieci. To jest wasza demoralizacja, wasza polityka przemocowa, wasze wulgaryzmy na ulicach”.

Cóż, od dawna wiadomo, że gdy się weźmie na sztandar ochronę dzieci – przed pedofilem czy potworem namawiającym je do zbrodni – to można szantażem moralnym wykosić wszelkie głosy rozsądku, które będą wskazywać na potencjalne niebezpieczeństwo zmian prawnych.

Łatwiej zablokować stronę w sieci niż skutecznie zwalczać przemoc domową, której 15-letni zabójca przez lata był świadkiem i ofiarą. Wiadomo, rodzina jest święta, a domowi terroryści też są pożyteczni, może chodzą do kościoła i dają na tacę, napędzają gospodarkę, kupując małpki.

Realny system ochrony dzieci przed patologiami, których oczywistym rozsadnikiem są domy czy szkoła, że o kościołach nie wspomnę, leży i kwiczy. Nie ma kadr, nie ma pieniędzy, nie ma narzędzi, nie ma determinacji wśród polityków, by coś naprawdę zmienić. Ale zablokujmy strony w sieci, to pokażemy siłę i sprawczość państwa.

Sprawa rzekomego zamachu na Tuska i Kosiniaka-Kamysza budzi wiele pytań, na które odpowiedzi rząd dawkuje z aptekarską wstrzemięźliwością. Wiadomo, że na Dolnym Śląsku pewien 66-latek został zatrzymany i że kontaktował się on przez internet z jakimiś skrajnymi grupami politycznymi.

Nie chcę być złośliwa, ale historia rodzimego „terrorysty” Brunona Kwietnia, który w listopadzie 2012 r. został zatrzymany przez Agencję Bezpieczeństwa Wewnętrznego w związku z przygotowaniem wysadzenia gmachu sejmu, daje do myślenia. Przypomnijmy: szybko okazało się, że facet był typowym prawicowym oszołomem, lecz to zręczni prowokatorzy ze służb skłonili go do rojeń o zostaniu polskim bin Ladenem. W jego „komórce” terrorystycznej poza nim byli praktycznie sami agenci…

Nie mam pojęcia, czy nowy „zamachowiec” będzie tylko idiotą, któremu peron odjechał i marzyłaby mu się zbrodnia, której jednak nigdy nie byłby w stanie dokonać, czy też



Ilustr. PAWEŁ FERENC

W tym miejscu zacytuję klasyczne dzieło prof. UW Mirosława Karwata „Sztuka manipulacji politycznej”: oddziaływanie na świadomość ludzi i wpływanie „na postawy i zachowania ludzi za pośrednictwem ich własnej świadomości – w tym wypadku na zasadzie podstępności, pod warunkiem przechytrzenia adresatów, zasugerowania ich, wprowadzenia w błąd, uniknięcia kontroli etc. To już socjotechnika manipulacyjna wyższej próby, oparta na uprzedmiotowieniu pośrednim, które zresztą może przybrać nawet pozór czczenia cudzej podmiotowości, tak jak to jest np. w schlebianiu, kuszeniu, uwodzeniu”.

Władza pozornie zachowuje się racjonalnie. Jako iż w Polsce utarło się, że przeciwnik polityczny jest faktycznie śmiertelnym wrogiem – a skoro nas nie popiera, to nie tylko kanalią, lecz zapewne wariatem – to jasne jest, że prawicowa propaganda skutkuje pojawieniem się ludzi gotowych zabijać. Potwierdza to mądrość wyborców KO, że

ci z prawicowej opozycji są niebezpieczni i za wszelką cenę należy popierać Tuska, cokolwiek by robił. Bo alternatywą nie jest inna władza, lecz chaos i szaleństwo.

Rzecz jasna, opozycja również manipuluje – i to zwykle bezwstydnie – lecz sprawy tak się mają, że to władza ma znacznie szerszy wachlarz możliwości w tej sferze. Powtórzymy za prof. Karwatem: „Manipulacja jest najbardziej charakterystyczna i adekwatna dla sytuacji współzawodnictwa i najbardziej w tych warunkach owocna sama w sobie. Bowiem konkurencyjność interesów i kolizja celów (alternatywność i splatanie się, a nie wykluczanie się) nie wymaga bezwarunkowo działania na szkodę rywala, w każdym razie – poza chwilą i dziedziną bezpośredniego współzawodnictwa”.

Najdziwniejsze w tym wszystkim jest, że w obliczu zagrożenia bezpieczeństwa fizycznego – prawdziwego czy domniemanego – z porządku dnia znikają takie kwestie jak realna (choć jak dotąd anonimowa) śmierć zapewne ogromnej liczby ludzi, którzy umierają w domach czy szpitalach, gdyż nie mogą doczekać się pilnych badań lekarskich. Jak ujawniła „Rzeczpospolita”, opierając się na utajnionym raporcie NFZ, w drugim kwartale 2026 r. liczba pacjentów oczekujących w pilnych kolejkach po świadczenia medyczne wyniosła 980 tys., aż o 180 tys. więcej niż rok wcześniej!

Jak zatem widać, są w Polsce nieliczni obywatele pierwszej kategorii, których skutecznie – miejmy nadzieję! – państwo chroni, i bezimienna rzesza ludzi „gorszego sortu”, których wszyscy mają głęboko w dupie, więc ich mało spektakularna śmierć jest politycznie obojętna i bez znaczenia…

KAT

---

do bólu: część nielegalnych pistoletów zaczyna swój żywot jako broń kupiona całkowicie legalnie. Dopiero potem ktoś ją kradnie, sprzedaje nie temu komu trzeba, kupuje dla kogoś innego albo przerzuca tam, dokąd trafić nie powinna.

Odpowiedzialność kuli

Tymczasem Czarnek zapewnia, że PiS chce odpowiedzieć na pytanie, „które bariery są rzeczywiście potrzebne dla bezpieczeństwa, a które są jedynie zbędną biurokracją”. Chce też zwiększać dostęp do profesjonalnych szkoleń i „zagwarantować odpowiedzialność osób posiadających broń”. Wszystko ślicznie, tylko odpowiedzialność nie jest właściwością człowieka nabytą raz na zawsze razem z patentem strzeleckim. Człowiek odpowiedzialny w poniedziałek może być pijany w sobotę, załamany w niedzielę, wściekły w następny wtorek albo zwyczajnie roztargniony w środę. Może się rozwieść, odkryć zdradę, stracić pracę, pokłócić się z sąsiadem, albo zostawić klucz do sejfu tam, gdzie znajdzie go dziecko. Może też zapomnieć, że broń jest załadowana lub popełnić błąd trwający ułamek sekundy, którego nie da się naprawić przez przeprosiny, mandat ani wizytę u blacharza.

Nawrocki mówi, że „sama broń nie daje bezpieczeństwa” i że bezpieczeństwo daje wyszkolony oraz odpowiedzialny człowiek. To zdanie zawiera w sobie najlepszy argument przeciwko pomysłowi upowszechniania broni. Bo problem polega właśnie na tym, że państwo nie posiada urządzenia pozwalającego zagwarantować, że każdy człowiek pozostanie wyszkolony, trzeźwy, spokojny i odpowiedzialny przez 24 godziny na dobę przez następne 40 lat.

Poza tym istnieją również dzieci znajdujące broń dorosłych, pomyłki, przypadkowe wystrzały, broń skradziona legalnemu właścicielowi, awantury domowe, konflikty sąsiedzkie oraz ludzie, którzy podejmują decyzje w stanie, w którym nigdy nie powinni mieć pod ręką urządzenia pozwalającego zamienić sekundę furii w pogrzeb.

Ale Nawrocki przedstawia polskie dane jako powód do zmartwienia. „Tylko 1 proc. Polaków ma dostęp do broni” – mówi. A przecież równie dobrze można powiedzieć, że aż 99 proc. Polaków potrafi przeżyć dzień bez noszenia przy sobie urządzenia służącego do robienia dziur w innych ludziach.

I dlatego zachwycanie się tym, że Czech, Austriak albo Fin ma więcej broni od Polaka, przypomina narzekanie, że sąsiad ma w piwnicy więcej kanistrów z benzyną. Może mieć. Pytanie tylko, dlaczego mielibyśmy się na nim wzorować. Amerykanie mają więcej broni niż ludzi. My mamy znakomicie niższy wskaźnik zabójstw z jej użyciem. Jeżeli to jest nasze zapóźnienie wobec Ameryki, to obyśmy nigdy jej nie dogonili.

TADEUSZ JASIŃSKI



Ilustr. PAWEŁ FERENC

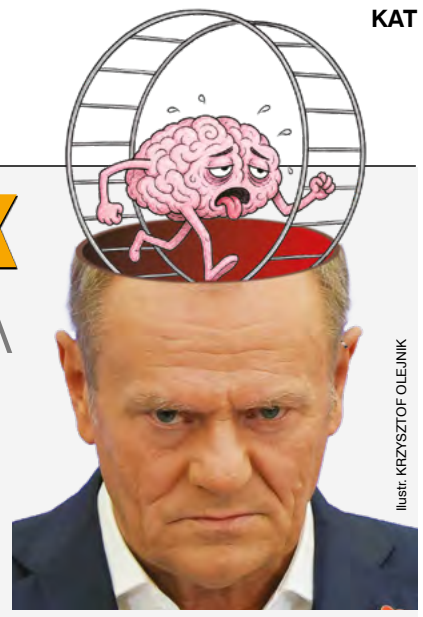
MÓŻDŻEK TYGODNIA

Premier Tusk już dawno przestał się dziwić, że ojców sukcesu jest tak wielu, a porażka pozostaje sama jak palec. Teraz właśnie poniósł porażkę, właściwie dwie, a jeśli liczyć od końca sierpnia, to trzy. Trzy pierdolone porażki personalne!

Najpierw Mróz-Gorgoń… Jak ona sprawnie mówiła, jak racjonalnie. Prawie się nie mizdrzyła, prawie nie obiecywała, uśmiechała się tak tajemniczo. Dałby sobie rękę uciąć za to, że w roli pełnomocniczki rządu do spraw promocji marki Polska sprawdzi się doskonale. I co? Dziś nie miałby jednej ręki.

Teraz Kołodziejczak. Stał o, tutaj, taki skromny, ale jaki silny! Prawdziwy chłopski przywódca, może nie imponującego wzrostu, ale za to z charakterem i potencjałem. Premier sam wpadł na pomysł, żeby zrobić go wiceministrem, chociaż peeselowcy przestrzegali, cmokając i sycząc. No i masz, chłopie, placek. Ćpun i przemocowiec. Przemocowiec i ćpun.

I najnowsza pomyłka – Piątkowska. Prędzej mój pies zostanie prezydentem Krakowa – mówił Kierwiński, a on na psach się znał jak mało kto. Kto? – pytał Kosiniak, zanim dał się przekonać do jej poparcia. Głos ma jakiś taki – utyskiwał. No i mizdrzy się, robi maślane oczy, dziękuje fałszywie


Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

i prosi przebiegle. Władek, kurczę, da radę – naciskał premier.

Nie dała rady. Przerżnęła z Gibałą jak Wyspy Owcze z Hiszpanią. Jak Izolator Boguchwała z Manchesterem City.

– Ewidentnie nie mam ręki do ludzi – powiedział głośno Tusk, a następnie zastanowił się nad tym, co powiedział. Podparł głowę rękami i dodał: – Jeżeli opuścił mnie instynkt, to co zostało? I jak to się skończy w wyborach za rok?

Miał tę zaletę, że nie okłamywał się. Nie przypochlebiał, nie kadził, nie upatrywał w sobie wielkości. Starał się widzieć rzeczywistość bez szkieł – ani różowych, ani czarnych, ani czarno-białych. I co teraz widział?

Zanim premier odpowiedział sobie na to pytanie, do gabinetu wszedł Trzaskowski. Kolejny, kurwa, mistrz wygrywania.

Na fujarce.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

eprasa.pl e8f39059d9

Poradnik dla zabieganego rodzica, jak rozpoznać, że dziecko planuje atak w szkole

Najpierw Pegasus, potem rozmowa

Po ostatnich atakach w szkołach politycy, eksperci i celebryci ostrzegają rodziców przed zagrożeniami czyhającymi na ich pociechy. Bezstresowe wychowanie, brutalne gry komputerowe, rosyjska dywersja, toksyczne social media, kryzys wartości.

U nas masz wszystko w jednym miejscu. Przygotowaliśmy poradnik, dzięki któremu nawet najbardziej zapracowany rodzic rozpozna, czy jego dziecko zamierza zrobić coś strasznego. Pamiętaj: nawet normalne zachowanie może być podejrzane.



Rys. MARCIN CHUDZIK

1. Dziecko jest wycofane, nie interesuje się otaczającym je światem

Wycofanie z ważnych dla Polski spraw to często pierwszy sygnał radykalizacji. Zapytaj pociechę, czy próbowała już pizzy Książula. Jeżeli odpowie, że nie i że jej to nie obchodzi, powinna zapalić ci się czerwona lampka.

Brak zainteresowania sprawami publicznymi, narodowymi debatami kulinarnymi i influencerami świadczy o postępującej izolacji społecznej. Leć do Żabki, kup pizzę, każ dziecku wystawić ocenę. Ale na wszelki wypadek podaj ją z plastikowymi sztućcami. Obserwuj reakcję.

Jeśli natomiast dziecko próbowało już pizzy i ma na jej temat opinię, sytuacja może być jeszcze poważniejsza. Być może wdało się w internetową wojnę o narodowe danie Książula i w akcie zemsty planuje coś głupiego. Zachowaj czujność.

2. Dziecko gra w brutalne gry komputerowe

Weźmy Minecrafta. Gra polega na kopaniu surowców, budowaniu domów i walce z potworami. Już sam cel gry powinien budzić niepokój. Po co 13-latkowi umiejętność budowania domu, skoro przy obecnych cenach i tak nigdy nie będzie go stać na własny? Po co kopie w ziemi, skoro Tusk z Unią zamykają kopalnie?

Jeszcze gorzej, gdy dzieciak w Minecrafcie buduje szkołę. Czy nie jest to przypadkiem próba rozpoznania terenu? Czy nie ćwiczy czegoś strasznego? Zgłoś sprawę odpowiednim służbom. I zabierz mu komputer.

3. Dziecko nie gra w brutalne gry komputerowe

To również niepokojące. W dobie powszechnej cyfryzacji nastolatek, który nie strzela do wirtualnych przeciwników, może przygotowywać się do działania w świecie rzeczywistym.

Szczególnie podejrzane są dzieci grające w symulatory rolnicze. Prowadzenie własnej farmy przy obecnych cenach benzyny i nawozów oraz w obliczu umowy z Mercosurem musi powodować frustrację i gniew. A gdzie najłatwiej wyładować się dziecku, jeżeli nie w szkole?

Jeśli twoja pociecha od tygodnia bezskutecznie próbuje sprzedać wirtualną pszenicę z zyskiem, nie czekaj na tragedię. Dzwoń po służby.

4. Dziecko kontaktuje się przez internet z Rosjanami

Jeżeli dziecko spędza dużo czasu przed komputerem, zapytaj spokojnie, ale zdecydowanie, czy rozmawiało ostatnio z obywatelem Federacji Rosyjskiej. Nie daj się zwieść tłumaczeniom, że chodziło o wspólne pokonanie smoka albo wymianę wirtualnej zbroi. Smok może być kryptonimem infrastruktury kolejowej, a zbroja – oznaczać drona.

Zapytaj o imiona internetowych przyjaciół. Jeżeli pojawią się Wania, Wołodia albo Oleg – twoje dziecko zostało zwerbowane przez FSB.

Ale pamiętaj! Rosyjskie służby mogą zmieniać imiona i posługiwać się angielskim. Jeśli na czacie padło hasło „rush B", może to oznaczać atak na Białystok. Najlepiej nie próbuj samodzielnie rozszyfrowywać komunikatów. Sprowadź tłumacza przysięgłego albo od razu dzwoń do ABW.

5. Dziecko nie chodzi do kościoła

To poważny sygnał postępującego kryzysu wartości. Brak religii i moralnego drogowskazu prowadzi do nihilizmu, agresji i przemocy. To oczywiste.

Wystarczy spojrzeć na coraz bardziej zlaicyzowaną Europę pogrążającą się w wojennej pożodze. Od lat pokojowe kontyngenty z głęboko religijnych Afganistanu, Jemenu i Sri Lanki bezskutecznie próbują rozdzielić walczących ze sobą fanatyków ateizmu z Holandii i Norwegii.

Jeśli jednak dziecko nagle zaczęło regularnie chodzić do kościoła, też zachowaj ostrożność. Skąd ta przemiana? Dlaczego zainteresowało się życiem wiecznym?

Najbezpieczniej, aby dziecko było religijne, ale bez przesady. Zapisz je na katechezę prowadzoną przez agentów ABW pod przykrywką. Jeśli dziecko zaprotestuje przeciwko dodatkowym lekcjom religii, to tylko potwierdzi, jak daleko zaszła demoralizacja.

6. Dziecko zamyka drzwi do swojego pokoju

Co ukrywa? Z kim rozmawia? Co planuje? Dlaczego nie chce, żebyś wszedł bez pukania? Niewinne wyjaśnienie, że potrzebuje prywatności, powinno pogłębić twoje podejrzenia. Dziecko, które nie ma nic do ukrycia, nie ma się czego bać.

Nie montuj kamery, nie przeglądaj dziecku historii w telefonie – to tylko półśrodki. Od razu kup w Izraelu licencję na Pegasusa. Dzięki temu będziesz miał kontrolę nad pacholęciem 24 godziny na dobę, siedem dni w tygodniu.

Bądź jak Macierewicz i Ziobro. Kontroluj, przepytuj, żądaj wyjaśnień. Wszystkie wątpliwości rozstrzygaj na korzyść teorii o planowanym ataku. Jeżeli dziecko zacznie cię unikać, otrzymasz niezbity dowód, że od początku było coś nie tak.

7. Dziecko prosi, żebyś z nim porozmawiał

To moment, w którym odpowiedzialny rodzic musi zachować czujność. Być może nastolatek chce opowiedzieć o problemach w szkole, samotności, prześladowaniu albo zwyczajnie spędzić z tobą trochę czasu.

Nie panikuj i nie rób niczego pochopnie. Najpierw sprawdź w Pegasusie jego telefon i historię przeglądarki. Potem posłuchaj konferencji Tuska o Minecrafcie. Obejrzyj na YouTubie materiał o rosyjskiej dezinformacji i akcjach dywersyjnych, obejrzyj rolkę psychologa o uzależnieniu od ekranów. Następnie schowaj noże, dzwoń po służby i spokojnie wróć do swoich obowiązków.

Dziecko zawsze może o swoich problemach porozmawiać z kimś w internecie. Po to przecież kupiłeś mu telefon. A jak mawiał były selekcjoner reprezentacji Polski trener Paweł Janas: czasem rolą rodzica jest po prostu się nie wpierdalać.

LEON ORŁOWSKI

Zamacho

Gdy prawica stras Wschodu, chrześc zeszytów wkłada

W połowie września Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego rozbiła siatkę nastoletnich ekstremistów działających na terenie województwa śląskiego. Młodzi obywatele, zamiast wymieniać się memami z papieżem-Polakiem albo gołymi babami, przesyłali sobie za pośrednictwem internetowych komunikatorów plany brutalnych ataków terrorystycznych oraz materiały o charakterze rasistowskim i antysemickim. Jak się okazało, wspólnym mianownikiem zainteresowań chłopców była ideologia nazistowska.

Kółko graniaste

16-letni Wiktor Ś. trafił do policyjnej izby dziecka, jego rówieśnik Kacper K. decyzją Sądu Rejonowego w Sosnowcu zaliczy trzymiesięczny turnus w schronisku dla nieletnich. 17-letni mieszkaniec Siemianowic Śląskich Paweł G. wykazał się większą aktywnością. Młodzian szykował zamach, w którym miało zginąć wiele osób. Planował zakup broni i wyposażenia wojskowego. Usłyszał zarzut przygotowywania zamachu terrorystycznego i najbliższe trzy miesiące spędzi w areszcie.

22 września w miejscowości Ptaki w woj. podlaskim 11-letni uczeń na szkolnym korytarzu przypierdolił toporkiem młodszej koleżance. Dziewczynka z ranami głowy i barku zamiast na cmentarz trafiła do szpitala tylko dlatego, że napastnik został spacyfikowany przez jednego z rodziców, który był świadkiem zdarzenia.

28 września policjanci z Wąbrzeźna w woj. kujawsko-pomorskim, dzięki informacjom od zagranicznych służb, zatrzymali 13-letniego ucznia szkoły podstawowej z miejscowości Książki. W przygotowanym do szkoły plecaku chłopaczka znaleziono 30-centymetrowy bagnet, a w pokoju tasak. Nastolatek uśmiercił podczas wakacji kilka kotów, a po rozpoczęciu nauki planował wyfiletować losowych rówieśników ze szkolnych murów. Pomysłem pochwalił się w sieci kumplowi ze Szwecji, a ten przytomnie zawiadomił służby. W międzyczasie warszawska policja zatrzymała 15-latka z Ukrainy, który szukał w sieci informacji o sposobach dokonania zamachu w centrum handlowym. Planował też zabicie policjanta.

„Kto podnosi rękę na bezpieczeństwo Polaków, spotka się z całą surowością prawa. Bezpieczeństwo to nie jest obszar do kompromisów" – perorował na jednej z konferencji minister sprawiedliwości Waldemar Żurek. Dodał również, że nie ma i nie będzie żadnej taryfy ulgowej dla faszyzmu, nienawiści i planowania krwawych zamachów w Polsce. Miło, kłopot w tym, że nie ma też procedur, żeby na kiełkujący ekstremizm reagować, zanim do drzwi nastolatka zapukają antyterroryści.

Nowe sztuczki

„Radykalizacja młodzieży nie zaczyna się od zamachu. Zaczyna się znacznie wcześniej – od treści, kontaktów i środowiska, które mogą pro-

WIEŚCI GMINNE i INNE

▮ W resorcie rolnictwa odkryto kible z masażem, zamykane na karty magnetyczne. PiS grzmi, że papier zbyt ładnie tam pachniał. Słusznie – prawdziwy polski patriota powinien podcierać się wyłącznie kłosem lub „Gazetą Polską". Ludowcy na marmurach to widok godny litości: technika masuje im to, czego wyborcy nie zdążyli im jeszcze skopać. To nie afera, to awans cywilizacyjny: od gnoju pod paznokciami do wibracji pod ogonem.

▮ Jolanta S. to postać niemal metafizyczna. Urzędniczy fenomen, który posiadł rzadką umiejętność bilokacji, a właściwie trilokacji. Piastuje ona bowiem urząd skarbnika na trzech pełnych etatach jednocześnie: w powiecie kutnowskim oraz w gminach Dąbrowice i Strzelce. W 2025 r. ta praca przyniosła jej łącznie 611 tys. zł. Sekretem tej wydajności jest zadaniowy czas pracy. W praktyce oznacza to, że nikt nie zawraca pani skarbnik głowy drobiazgami jak lista obecności czy siedzenie w biurze od 8.00 do 16.00. Sama zainteresowana twierdzi, że kluczem jest żelazna dyscyplina. Regionalna Izba Obrachunkowa w Łodzi, ci wieczni malkontenci, patrzy na ten cud wydajności z niesmakiem. Kontrolerzy zauważyli, że skarbnik to funkcjonariusz, który musi trzymać rękę na pulsie kasy non stop. RIO powiązało ten model pracy z bałaganem w księgach, co pani Jolanta skwitowała: błędy zdarzają się każdemu, nawet tym, którzy nudzą się w pracy przez osiem godzin.

▮ Były prezydent Ostrowca to człowiek o ciężkim charakterze i jeszcze cięższym portfelu. 21 zarzutów, w tym kilogramowa złota moneta, której „zapomniał" wpisać do oświadczenia majątkowego. Rozumiem go – taki krążek za dwieście patyków łatwo przeoczyć, zwłaszcza gdy głowę zaprzątają inne numizmaty o łącznej wartości blisko dwóch milionów. To nie jest zwykła korupcja, to pasja kolekcjonerska realizowana w trudnych warunkach samorządowych. Prezydent udowodnił, że władza w Polsce nie tylko deprawuje, ale i uszlachetnia – przynajmniej kruszcem w prywatnym sejfie. Teraz, z dozorem policyjnym i zakazem wstępu do urzędu, może wreszcie w spokoju polerować swoje srebra, o ile nie zabierze mu ich prokuratura na poczet przyszłych atrakcji sądowych. 300 tys. zł kaucji to przy jego zbiorach zaledwie opłata klimatyczna. Jak widać, w Ostrowcu złoto milczy, ale prokuratura wręcz przeciwnie.

▮ W Lubaniu sprawiedliwość ma nosa, ale nie do faktów. Policjant „rozpoznał" panią Edytę na nagraniu z drogerii, choć ta była 10 km dalej i miała na to kwity. Sąd, nie chcąc marnować czasu na takie fanaberie jak biegli czy obecność oskarżonej, wlepił jej wyrok za kradzież



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

perfum w trybie ekspresowym. Kobieta trafiła za kraty. Dopiero internauci i prywatny antropolog odkryli, że nos, podbródek i nogi skazanej nijak nie pasują do złodziejki z monitoringu. Okazuje się, że pani Edyta siedzi za niewinność, a prawdziwa amatorka darmowych zapachów cieszy się wolnością i aromatem Rossmanna. Morał? Temida w Lubaniu nie tylko jest ślepa, ale najwyraźniej ma też katar.

▮ Na trasie S19 w okolicach Zemborzyc doszło do rzadkiego zderzenia polskiej fantazji z bezdusznymi prawami fizyki. Inspektorzy transportu drogowego zatrzymali dostawczaka, który zamiast przepisowych 420 kg, targał na grzbiecie blisko trzy tony towaru. Przeładowanie o 650 proc. to wynik, którego nie powstydziłby się żaden stachanowiec, zwłaszcza że auto od pół roku nie widziało stacji diagnostycznej. Kierowca zapłacił 3 tys. zł mandatu, co przy tej skali bezczelności brzmi raczej jak dobrowolny datek na tacę niż kara.

▮ Przy ul. Grzybowskiej w Warszawie stanął kolejny pomnik ludzkiej próżności, apartamentowiec o pretensjonalnej nazwie Flare. Ceny za metr kwadratowy wahają się od 35 do 55 tys. zł, co oznacza, że za 50-metrową klitkę, w której ledwo da się rozłożyć nogi, trzeba zapłacić blisko 3 mln. To uczciwa cena za przywilej patrzenia przez okno na sąsiada z naprzeciwka, który wydał tyle samo, by móc gapić się na nas.

▮ Mirosław Maliszewski, główny sadownik Rzeczypospolitej, odkrył Amerykę: jabłka nie mają własnego zdania w kwestii swojej ceny. Okazuje się, że to nie mityczny rynek decyduje, ile wart jest owoc, tylko panowie w garniturach z zakładów przetwórczych, którzy wyceniają kilogram na marne 50 groszy. To mniej, niż kosztuje splunięcie na chodnik w centrum Warszawy. Maliszewski słusznie zauważa, że przetwórnie, które wcześniej chętnie doiły państwową krowę w formie dotacji, teraz doją sadowników. To piękny przykład kapitalistycznej wdzięczności.

▮ Fameg z Radomska, który od 1881 r. produkował gięte krzesła drewniane, sam w końcu pękł pod ciężarem długów. Firma przetrwała cara, Hitlera i Stalina, ale poległa w starciu z nowoczesną księgowością, generując 14 mln zł straty rocznie. To doprawdy wybitne osiągnię-

eprasa.pl e8f39059d9

wcy z tornistrami

szy beżowym terroryzmem ze cijański narybek z Polski zamiast do plecaków tasaki



Rys. MIROSŁAW HAJNOS

Dyskusje młodocianych fascynatów puszczania innowierców przez komin czy organizacji ludzkiego safari w lokalnym przedszkolu odbywają się na zamkniętych kanałach aplikacji Discord, Telegram czy na forach typu 8chan. Większość rodziców i nauczycieli nie umie poprawnie wymówić nazw tych sieciowych miejscówek, a co dopiero się na nie dostać. Przeciętny belfer, obciążony realizacją podstawy programowej i papierologią, rzadko kiedy ma czas na indywidualną obserwację psychologiczną każdego ucznia.

Z raportów NIK i bieżących analiz ekspertów ds. bezpieczeństwa wynika, że w wielu polskich szkołach procedury reagowania kryzysowego istnieją głównie na papierze. Zresztą większość z nich i tak skupia się na tym, co zrobić, gdy już dojdzie do ataku, albo na szukaniu kozła ofiarnego zaistniałej sytuacji.

wadzić do realnego zagrożenia" – napisał rzecznik ministra koordynatora służb specjalnych Jacek Dobrzyński na platformie X. To trochę tak, jakby odkryć, że woda jest mokra.

Aby tradycji stało się zadość, do kompletu oczywistości brakuje pytania, gdzie byli rodzice i szkoła? Otóż prawdopodobnie w tej samej dupie niewiedzy. Czasy picia tanich win za garażami i malowania swastyk na klatkach schodowych bezpowrotnie minęły. Niedoszli zamachowcy wpadli tylko dlatego, że zupełnie dziecinnie (jak na ich wiek przystało) uwierzyli w internetową anonimowość. Z przygotowanego przez Polskie Towarzystwo Polityki Społecznej na zlecenie Ministerstwa Edukacji Narodowej raportu „Diagnoza Młodzieży 2026" wynika, że 47 proc. nastolatków w wieku 13–16 lat deklaruje ponadprzeciętny kontakt z treściami antyspołecznymi, a 44 proc. młodzieży ma trudność z odróżnianiem informacji prawdziwych od tych prąciem po wodzie pisanych. Słaba więź ze starymi, doznane od rówieśników krzywdy, samotność w realu i algorytmy popychają dzieciarnię w mroczne zakątki sieci.

Dla przykładu: rzecznik dyscyplinarny wniósł o zwolnienie ze stanowiska i trzyletni zakaz pracy w zawodzie nauczyciela dla dyrektora Szkoły Podstawowej nr 10 w Jeleniej Górze, do której chodziły zamordowana w grudniu ubiegłego roku 11-letnia Danusia i zatrzymana w tej sprawie 12-letnia oprawczyni. Po podziurawieniu dziewczynki nożem, kuratorium przeprowadziło kontrolę. Kontrolerki dotarły do karty samooceny zabójczyni, w której wskazała m.in., że weszła w konflikt z prawem, pije alkohol, pali papierosy, a swoim zachowaniem stwarza realne zagrożenie dla bezpieczeństwa swojego oraz innych. Kartę widziała wcześniej wychowawczyni młodej morderczyni, ale niewiele sobie z niej zrobiła. Dyrektor zapoznał się z nią dopiero po kontroli z kuratorium. Trudno się dziwić, ot przechwałki nastoletniej panienki. Śledczy wykazali, że lepszy balet 12-latka odstawiała w sieci. Sprawnie poruszała się po darknecie, gdzie zamówiła m.in. filmy przedstawiające sadystyczne zachowania wobec dzieci. Jeden z nich niemal odzwierciedlał to, co zrobiła z koleżanką nieopodal szkoły.

Nauczone zmywaniem flaków z publicznych posadzek kraje Zachodu stawiają na model prewencji behawioralnej, który zakłada, że to właśnie szkoła jest czujnikiem rozpoznania zagrożenia, zanim stanie się ono przemocą.

Jak więc działać, żeby przeciwdziałać?

Prewencja po sąsiedzku

Brytyjski system tzw. Prevent Duty zakłada, że nauczyciele mają ustawowy obowiązek zgłaszania wszelkich obaw dotyczących ekstremizmu u uczniów. Za olanie przesłanek grożą surowe kary. Gdy belfer zauważy niepokojące sygnały, zgłasza sprawę do zespołu Channel, w skład którego wchodzą: przedstawiciele szkoły, pracownicy socjalni, psycholodzy i policja. Zespół decyduje o objęciu ucznia wsparciem mentorskim lub terapią psychologiczną, zanim przekroczy on czerwoną linię.

Francja zakleszczona między problemem radykalizacji prawicowej i dżihadystycznej kładzie nacisk na naukę o sekularyzmie, wolności słowa i krytycznym myśleniu. Tworzy przewodniki dla nauczycieli pokazujące, jak reagować, gdy uczeń kwestionuje np. naukę o holokauście czy prawa kobiet z powodów ideologicznych. W razie niepokojących sygnałów cięższego kalibru dyrektorzy przekazują zgłoszenia do koordynatorów regionalnych, którzy łączą działania edukacyjne z pracą wywiadu i policji.

Państwa skandynawskie zainwestowały w narzędzia i specjalistów, którzy monitorują lokalną cyberprzestrzeń. Algorytmy i tzw. cyfrowi strażnicy (mediatorzy i policjanci operujący na TikToku, Discordzie czy forach gamingowych) monitorują półpubliczne i publiczne grupy, fora oraz hashtagi związane z konkretnymi regionami i szkołami. Wyłapują nagłe skoki agresji, normalizację przemocy, rekrutację do lokalnych gangów lub dystrybucję np. manifestów terrorystycznych. Co ważne, nie grzebią w prywatnych wiadomościach. Nawet gdyby chcieli, nie muszą. Badania pokazują, że 80 proc. dzieciaków planujących zamachy chwali się planami w sieci. Kiedy już wyłapią rodzynka, do jego domu nie wbija o świcie antyterrorysta. Zamiast tego psycholog wespół z pracownikiem socjalnym organizują spotkanie z rodzicami. Odcinają smarka od toksycznego wpływu i oferują alternatywne formy wsparcia: terapię, zajęcia sportowe czy inne spacery po lesie.

Prewencja po polsku

W kraju nad Wisłą MEN objęło patronatem stworzony przez NASK i ABW kurs „Radykalizacja" na jednej z platform e-learningowych, ale inicjatywa, choć chwalebna, uczy młodzież i nauczycieli rozpoznawania manipulacji i ekstremizmu jedynie w formie dobrowolnej teorii, testów online i konkursu na najlepszy wynik. Oferta zamkniętych internetowych grup zachęcających do radosnej dekapitacji wrogów wydaje się bardziej kusząca dla zagubionych w trudach życia dzieciaczków. Pytanie, czy na trop serwerów trafią agenci ABW, pozostaje otwarte.

O potrzebie uszczelnienia bezpieczeństwa w szkołach i systemowej walki z nienawiścią w sieci wielokrotnie wspominała minister edukacji Barbara Nowacka. Prezydent Karol Nawrocki i premier Donald Tusk nie podjęli publicznie tematu podejrzewanych o terroryzm nastolatków do momentu zadźgania przez 15-letniego Wiktora S. 37-letniej woźnej w szkole podstawowej w Leszczydole-Nowinach.

Zaledwie dzień wcześniej, 7 października, w Zespole Szkół Zawodowych nr 4 w Ostrołęce 19-letni Jakub Z. zaatakował uczniów i pracowników maczetą. Ranił dziewięć osób, miał ze sobą także ładunek wybuchowy domowej roboty, którego nie użył. Krótko mówiąc, dopiero zgon uruchomił polityków i jak w polskiej polityce bywa, natychmiast stał się okazją do międzyplemiennej nawalanki. Sejm w trybie pilnym uchwalił ustawę pozwalającą blokować nielegalne treści w internecie. Premier obrzygał prezydenta za zawetowanie w styczniu ustawy implementującej akt o usługach cyfrowych. PiS, obie Konfederacje i Kancelaria Prezydenta nazwały działania rządu i premiera administracyjną cenzurą. W międzyczasie w jednej z warszawskich szkół policealnych 21-letnia studentka zaatakowała nożem trzy inne osoby…

Nawet gdyby prezydent i premier doszli do porozumienia w kwestii rugowania internetowej patologii, trudno będzie uznać temat za odfajkowany. O ile państwo może nakazać operatorom zablokowanie konkretnej domeny „czystego" internetu (jak 8chan), o tyle darknet (oparty głównie o sieć Tor) został zaprojektowany w taki sposób, aby być odpornym na cenzurę i odgórne blokady. Żadne ustawy tego nie zmienią.

Rodzice wcale nie muszą się oglądać na działania rządu. Większość nowoczesnych routerów posiada zakładkę „Kontrola rodzicielska" lub „Filtrowanie URL", gdzie można odciąć dostęp do konkretnych stron w domowej sieci. Podobny manewr można wykonać w telefonie bąbelka. Jeśli kaszojad sprawnie zaloguje się do darknetu, pozostaje liczyć na ABW, może zdążą.

Dzieci są kreatywne, przyklejanie systemowych plasterków jak ten z ustawą jest jak wspomniane chlanie za garażami – te czasy już dawno minęły. Przyczyn agresywnych zachowań młodocianych obywateli jest na pęczki. Ich zdiagnozowanie i neutralizacja to krecia robota na lata. To, co rozwleczone w czasie, rzadko bywa opłacalne politycznie. Medialne debaty nad trupami problemu nie rozwiążą na pewno.

IDALIA DUBICKA

cie: wydawać o 14 baniek więcej, niż się zarabia, i liczyć na to, że restrukturyzacja zadziała jak cudowne uzdrowienie trupa. W dzisiejszej Polsce gięte kręgosłupy są w cenie, ale gięte bukowe oparcia najwyraźniej stały się zbyt kosztownym przeżytkiem dla mas, które wolą siedzieć na taniej sklejce z importu.

■ Pod Łowiczem, podczas akcji o poetyckiej nazwie „A1 – bezpiecznie przez jesień", policja zamiast dbać o życie kierowców, zadbała o monopol państwa na trucie obywateli. Zatrzymano 37-latka z powiatu kutnowskiego, który w bagażniku Opla przewoził 1000 paczek papierosów bez akcyzy. Bilans: 20 tys. sztuk nielegalnego tytoniu zabezpieczone, zarzuty karno-skarbowe postawione, a budżet państwa zapłakał nad stratą 35 tys. zł. Teraz szmuglerowi grozi wysoka grzywna, bo w tym kraju wolno kraść tylko zgodnie z ustawą.

■ ZUS, ta ostoja narodowej powściągliwości w wydawaniu pieniędzy, skapitulował przed rzeczywistością. Wypłacono pierwsze zasiłki opiekuńcze osobom pozostającym w małżeństwach jednopłciowych zawartych za granicą. Na razie to tylko dwa wnioski, ale oba rozpatrzone pozytywnie, co w naszych urzędach graniczy z cudem nad Wisłą. Mamy już ponad pół tysiąca takich par, które sprytnie ominęły krajowe zakazy, biorąc ślub tam, gdzie urzędnik nie pyta o orientację, a jedynie o dowód osobisty.

■ W powiecie kluczborskim 34-letni osiłek dyscyplinował 53-letnią matkę za brak obiadu i nieumyte podłogi. Narzędziem perswazji był – według policyjnej polszczyzny – drewniany kij. To cenna uwaga, bo przecież w polskich domach kije z tytanu czy kości słoniowej to rzadkość, a policja najwyraźniej dba, byśmy nie pomylili narzędzia zbrodni z kijem do hokeja. Kobieta, wierna narodowej tradycji ukrywania domowego piekła, twierdziła najpierw, że obrażenia to skutek upadku z okna. Synuś trafił do aresztu, a mamie pozostaje smutna refleksja, że przez najbliższe pięć lat nikt nie będzie jej bił za przesoloną zupę, bo państwo przejmuje obowiązek żywienia oprawcy.

■ Prokuratura w Krakowie z dumą ogłosiła, że Jakub Bocheński z Nowego Sącza nie był gwałcicielem. Szkoda tylko, że ta radosna nowina dotarła do adresata, gdy ten od dawna gnije w grobie. Polityk Lewicy, nie czekając na powolne młyny sprawiedliwości, które nie potwierdziły zarzutów o napaść seksualną w hotelu, sam wymierzył sobie wyrok w krakowskim pustostanie. Śledztwo umorzono, potwierdzając samobójstwo i pośmiertnie czyszcząc kartotekę denata. Krótko mówiąc: honor odzyskany, życie stracone, sprawa zamknięta. Klasyczny polski happy end.

RJ

PS Powyższe wieści pochodzą z krajowych mediów. My ich nie sprawdzaliśmy, więc mogą być prawdą, półprawdą albo zwykłym bajdurzeniem. Czytać ostrożnie. Redakcja za zgodność z rzeczywistością nie odpowiada.



Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Dzieci-zombie

– Teraz jest policja? Teraz jest! Ale jak mnie bili, jak się nade mną znęcali, to nie było policji, jak prosiłem o pomoc! – miał wykrzykiwać 14-latek zaraz po tym, jak go skuła policja pod galerią handlową w Hajnówce (woj. podlaskie).

W piątek 9 października późnym popołudniem, już na fali idących w dziesiątki incydentów z udziałem małolatów, ktoś wezwał policję do centrum miasteczka na pograniczu polsko-białoruskim. Nie sposób było uspokoić dzieciaka, który szalał i wygrażał wszystkim wokół. Nie wiadomo, o co poszło i kto był adresatem jego bluzgów, ale wielogłowa plotka godzinę później obrosła w noże, maczety i dwie zranione małolatki.

Już dziś wiadomo, że 14-latek od lat sprawiał kłopoty i pochodzi z rodziny, która w przeszłości miała pod górkę z powodu gorzałki, ale już podobno nie ma, tyle że dzieciak został sam ze sobą i swoją nadwrażliwością.

Wyjątkowo profesjonalnie – jak donieśli świadkowie zdarzenia – zachował się funkcjonariusz z patrolu. Był jak wyrozumiały ojciec, opiekuńczy starszy brat i empatyczny psycholog. Symbolicznie przy tym wyglądają zdjęcia z akcji. Trochę niewyraźne, ale to pikuś. Nad skutym dzieckiem klęczy policjant, a nad głowami obaj mają szybę sklepową z rysunkiem misia-przytulanki. Gdy je zobaczyłem, przypomniał mi się stary song Kultu wykonywany a cappella:

„Kochajcie dzieci swoje – wy jesteście im ostoją
Kochajcie dzieci swoje – niech się was nie boją
Kochajcie dzieci swoje – bo nad nimi macie władzę
Kochajcie dzieci swoje – ja z sympatii radzę
Kochajcie dzieci swoje – jesteście dla nich wzorem
Kochajcie dzieci swoje – pierwszych marzeń autorem
Kochajcie dzieci swoje – bowiem miłości waszej
Nie jest w stanie zastąpić nawet najlepsza z maszyn".

ARKADIUSZ PANASIUK

eprasa.pl e8f39059d9

Zdrowie zareformowane na śmierć

Polska służba zdrowia ma się coraz lepiej. Pod warunkiem że się z niej nie korzysta.


Rys. GRZEGORZ SOBCZAK

Pod koniec września rząd obwieścił, że reforma ochrony zdrowia „wchodzi w decydujący etap". Ministra Sobierańska-Grenda mówiła już o „największej zmianie systemowej w ochronie zdrowia od wielu lat". Reforma ma być oparta na przejrzystości, odpowiedzialności za publiczne pieniądze i nowoczesnych narzędziach dla pacjentów. Będzie monitorowanie kolejek, będą nowe zasady wynagradzania, Centralna e-Rejestracja, kontrolowanie grafików, analiza wieloetatowości lekarzy, a szpitale dostaną czas aż do połowy 2029 r. na dostosowanie działalności do potrzeb zdrowotnych mieszkańców. Czyli wszystko będzie.

Reformowanie kolejki

Ministerstwo już w lipcu zapowiadało dodatkowe 1,2 mld zł rocznie tam, „gdzie są dziś największe potrzeby zdrowotne pacjentów". Nowe wyceny miały poprawiać dostępność leczenia, lepiej odpowiadać rzeczywistym kosztom i wspierać świadczenia najbardziej potrzebne. W lipcu resort ogłosił również pakiet mający zagwarantować „równy dostęp do świadczeń". We wrześniu zapewniał zaś, że konsekwentnie wdraża rozwiązania mające poprawić dostęp do lekarza i kontrolę kolejek.

Od 1 kwietnia zmieniono zasady finansowania części diagnostyki. Formalnie tomografia komputerowa, rezonans magnetyczny, gastroskopia i kolonoskopia nadal są świadczeniami nielimitowanymi. Tyle że

jeśli placówka przekroczy wartość zapisaną w umowie z NFZ, Fundusz płaci jej za nadwykonanie 50 proc. stawki w przypadku tomografii i rezonansu oraz 60 proc. przy gastroskopii i kolonoskopii. Stworzono zatem coś w rodzaju nielimitowanego limitu.

Przed zmianami na kolonoskopię bez znieczulenia w zwykłym trybie czekało się średnio 237 dni. Teraz są to 336 dni. W trybie pilnym było 168 dni, a zrobiły się 262. Kolonoskopia w znieczuleniu oznacza obecnie 501 dni czekania w trybie normalnym, o 94 więcej niż przed zmianą. W trybie pilnym są to 426 dni, czyli o 83 więcej. Potem człowiek może jeszcze poczekać nawet 32 dni na wynik badania histopatologicznego.

Jeszcze bardziej zreformowano gastroskopię. Bez znieczulenia w trybie zwykłym trzeba na nią czekać średnio 200 dni, o 67 dłużej niż przed 1 kwietnia. Pilny pacjent czeka 150 dni, czyli o 56 więcej. Za to gastroskopia w znieczuleniu pokazuje już prawdziwą skalę sukcesu. Przed zmianami było 384 dni, obecnie jest 574. Reforma wydłużyła kolejkę o 190 dni. Człowiek czekający na badanie przełyku czy żołądka może więc przez ponad 19 miesięcy zastanawiać się, czy to, co mu dolega, jest wrzodem, refluksem, czy może nowotworem. Jeśli lekarz uzna, że sprawa jest pilna, pacjent ma szczęście. Czeka tylko 515 dni. Przed reformą było 333.

Nie lepiej jest tam, gdzie nie wkłada się człowiekowi rurki do środka. Na rezonans w normalnym trybie czeka się już średnio 137 dni, o 52 więcej niż wcześniej. Pilny oznacza 104 dni, czyli dodatkowych 40. Potem na opis można poczekać jeszcze do 28 dni. Tomografia to odpowiednio 80 i 60 dni, przy czym kolejki wydłużyły się o 29 i 24 dni, a opis może zabrać kolejnych 23. W niektórych placówkach pojęcie kolejki stało się zresztą nieaktualne, bo zakończono zapisy na 2026 r. Inne przyjmują chętnych na 2029, 2030, a nawet 2031 rok.

Profilaktyka z sieci

Państwo nie musi jednak człowieka diagnozować, jeśli człowiek wcześniej sam nauczy się nie chorować. Do tego potrzebna jest profilaktyka. Najlepiej zaczynać ją wcześnie. Na przykład w szkole. A wyniki pokazują, że młodzi Polacy radzą sobie z edukacją zdrowotną zgodnie z polską tradycją. Czyli sami.

Jedna czwarta badanych odbyła pierwszy stosunek przed ukończeniem 18 lat, ponad jedna trzecia – już jako osoby pełnoletnie, a 30 proc. jeszcze inicjacji seksualnej nie przeszło. Wśród tych, którzy seks uprawiają, 47 proc. robi to przynajmniej raz w tygodniu, około jednej piątej – od jednego do trzech razy w miesiącu, a 12 proc. nie miało kontaktów seksualnych w ciągu poprzedniego roku.

I teraz robi się ciekawie. Aż 59 proc. tych, którzy rozpoczęli życie seksualne, przynajmniej raz uprawiało seks bez zabezpieczenia. Niemal połowie przydarzyło się to więcej niż raz. 43 proc. tłumaczyło brak antykoncepcji zaufaniem do partnera, 32 proc. – pozostawaniem w stałym związku, 31 proc. – spontanicznością, u 14 proc. partner albo partnerka sprzeciwiali się zabezpieczeniu, w 11 proc. przypadków rolę odegrał alkohol lub inne substancje, a 5 proc. ludzi nie chciało nawet rozmawiać o zabezpieczeniu przed ciążą i chorobami przenoszonymi drogą płciową.

Najpopularniejsza jest prezerwatywa używana przez 68 proc. badanych. Tabletki hormonalne stosuje 29 proc. Stosunek przerywany, czyli antykoncepcję metodą „może się uda", praktykuje 19 proc. Metody naturalne i kalendarzowe wybiera 11 proc., zaś antykoncepcję awaryjną – 8 proc. Plastry, wkładki i krążki mają po 3 proc. albo mniej.

Ale najbardziej smakowite jest to, skąd młodzi ludzie wiedzą, co robić, żeby nie zostać rodzicami albo pacjentami poradni wenerologicznej. Od lekarza – nie bardzo. Ze szkoły – też nie. Dla 48 proc. źródłem wiedzy są wyszukiwarki internetowe, dla 43 proc. – media społecznościowe i fora, a dla 41 proc. – portale zdrowotne. Jednocześnie 63 proc. chciałoby dostawać wiedzę od lekarza, a 62 proc. – w szkole. Państwo osiągnęło więc sytuację dość osobliwą. Młodzi chcą, żeby o zdrowiu seksualnym mówił im fachowiec albo nauczyciel, ale skoro system robi to w stopniu niezadowalającym, dowiadują się od Google'a, TikToka i tego, co akurat uzna algorytm.

W efekcie człowiek mający 19 lat może bez problemu znaleźć 50 filmów o tym, że antykoncepcja hormonalna „zatruwa organizm", zanim uda mu się porozmawiać z lekarzem. Potem państwo będzie oczywiście prowadziło profilaktykę. Tylko czego?

Prątki wiecznie żywe

Profilaktycznie można też nie zachorować na gruźlicę. Ministerstwo Zdrowia w lutym przypominało, że w 2024 r. zanotowano w Polsce 4236 przypadków gruźlicy i właśnie aktualną sytuacją epidemiologiczną uzasadniało dalsze obowiązkowe szczepienie noworodków BCG. Szczepionka podawana w pierwszej dobie życia chroni przede wszystkim przed najcięższymi postaciami choroby. Resort uznał ryzyko gruźlicy za wystarczająco realne, aby szczepienia pozostawały priorytetem.

Ale zdaniem ekspertów w Polsce jest znacznie więcej chorych, niż pokazują statystyki. Problemem ma być niedostateczne wykrywanie, zgłaszanie przypadków oraz rezygnacja z szerokiego wykonywania zdjęć RTG klatki piersiowej.

Na świecie prątkiem gruźlicy zakażona jest mniej więcej jedna czwarta ludzi. U większości zakażenie pozostaje utajone, ale aktywna choroba rozwija się u części zakażonych, szczególnie gdy osłabia ich niedożywienie, nowotwór czy inne czynniki zmniejszające odporność. W Polsce dodatkowym problemem jest późne rozpoznawanie. Kaszel przez trzy tygodnie, nocne poty, chudnięcie, osłabienie i stany podgorączkowe łatwo zlekceważyć, zwłaszcza gdy dostanie się termin do specjalisty na moment, w którym kaszel zdąży albo minąć, albo pacjent zdąży przestać być problemem ambulatoryjnym.

I nie jest to choroba bezdomnych. Chorują również lekarze, pielęgniarki i osoby wykonujące normalną pracę. Gruźlica potrafi atakować nie tylko płuca, ale także kości, nerki czy narządy płciowe.

Polska walczy więc jednocześnie z chorobami XXI w. i z takimi, które obywatelowi kojarzą się z XIX. To też jest pewien rodzaj kompleksowości systemu.

Naród leczy się sam

Na szczęście Polacy powoli dochodzą do wniosku, że skoro dostanie się do lekarza jest rodzajem gry terenowej, najlepiej próbować do lekarza nie trafić. I tu pojawiają się pierwsze sukcesy. Badania pokazują gigantyczną zmianę w paleniu tradycyjnych papierosów. 20 lat temu paliło 31 proc. Polaków w wieku 20–75 lat. 10 lat później było to 25 proc, teraz jest 17 proc. W dwie dekady odsetek palaczy spadł zatem niemal o połowę.

Lepiej wygląda też kontrola nadciśnienia, bo tylko około 4 mln osób z nadciśnieniem nie otrzymuje leczenia farmakologicznego. Ministerstwo samo przyznaje, że problem narasta zwłaszcza wśród młodych dorosłych, u których coraz częściej występują otyłość brzuszna i zaburzenia metaboliczne. A skoro papierosa rodacy coraz częściej odkładają, to mogą stanąć na wadze. I wtedy zaczyna się mniej wesoło.

Ponad 18 mln dorosłych Polaków ma nadmierną masę ciała. Nadwagę ma około 39 proc., a otyłość – 21 proc. dorosłych. W ciągu dwóch dekad częstość otyłości właściwie się nie zmieniła, za to nadwaga wzrosła z 34,2 do 37,6 proc. Prawie 8 mln Polaków ma zestaw czynników, które w przyszłości mogą zaprowadzić ich do kardiologa, diabetologa albo szpitala. Jeśli oczywiście uda im się tam dostać.

Najzabawniejsze jest zatem to, że polska reforma zdrowia rzeczywiście trwa. Tylko reformowany jest nie system, lecz obywatel. A państwo stworzyło najbardziej neoliberalny model profilaktyki zdrowotnej w Europie, w którym nie trzeba obywatela przekonywać, żeby o siebie dbał. Wystarczy pokazać mu kolejkę.

TOMASZ BOROWIECKI

Jazda bez trzymanki

SŁOWO CZERWONE

Z frontu walki o sprawiedliwość społeczną

Pan Irek gniewa się na zły los. Taksówką jeździ, posługując się tylko jedną ręka – druga jest niewładna po wylewie. Nawet pytał policjantów, czy tak można. Powiedzieli, że można. Jego nastoletni syn zmarł na zakrzepicę. Pan Irek wierzy, że to z powodu szczepionki przeciw COVID-19. Jego żona po utracie jedynego syna, wypieszczonego jedynaka, postradała zmysły. Wylądowała w podwarszawskiej Drewnicy, w szpitalu psychiatrycznym i odebrała sobie życie. Pan Irek twierdzi, że zły los chce go powalić, ale on się zawziął i nie zamierza się dać losowi. Jazda z kierowcą, który zmienia biegi lewą ręką, była pełna emocji, ale jeszcze więcej wywołało słuchanie tego, przez co gość przeszedł.

W Kancelarii Sprawiedliwości Społecznej wciąż pojawiają się osoby, których losy nadałyby się na straszny film. Ale takie filmy nie powstają, bo byłyby zbyt przerażające. Dzwoni do mnie matka dwóch małych córeczek. Wychowuje je samotnie i zaczęła zalegać z czynszem. Wtedy właściciel zaczął ją wyrzucać w sposób pozaprawny. Ona, idąc za moją radą, wezwała policję. Ta odparła pierwszy zamach, ale kiedy czyściciele wprowadzili słupy, gości z pizzą, fajami i grą w pokera, policja stwierdziła salomonowo, że wyrzucić jej właściciel nie może bez wyroku, ale słupy mogą w lokalu przebywać. I tak za aprobatą policji słupy przebywają z dwiema małymi dziewczynkami pod jednym dachem.

Przyjechał do mnie dziennikarz jednej z głównych stacji telewizyjnych i powiedział, że on już nie może dłużej tego filmować. Żebym z nim pojechał i coś zrobił. Czyściciele wybili szybę drzwi balkonowych w Łomiankach. Na szkle była krew matki i córki, które tam przebywały, a bandyci na oczach gliniarzy rozbili sedes wielkim młotem. Słupy grały w karty i żarły pizzę. Popijali piwko. Zacząłem dzwonić do naszych wolontariuszy. Była godz. 22.00. Do północy zebrało się nas 30 osób. Zdobyliśmy przewagę liczebną i słupy wymiękły i sobie poszły. Wszyscy czekali w napięciu na „mecenasa". Okazało się jednak, że „mecenas" to ksywa z więzienia szefa miejscowej bandy. Gliniarze grzecznie się „mecenasowi" kłaniali. Wkurzyłem się i powiedziałem policjantom, że przebrali się w mundury i policję udają. Myślałem, że mnie zatrzymają za obrazę munduru. Było gorzej – pochylili głowy. Było widać, że nie są z siebie dumni. Wygraliśmy, bo było nas więcej, a nie dzięki obecności mundurowych.

Przydzielili Sławkowi mieszkanie bez wody. Zrobiliśmy zadymę i obiecali, że to naprawią. Doprowadzili wodę, ale bez odpływu. Można się umyć w miednicy, ale wodę trzeba wynosić wiadrami. Tak czy inaczej, bez dźwigania się nie obejdzie. Jest wilgotno, nie ma sprawnej wentylacji. Człowiek puchnie i się dusi.


Ilustr. PAWEŁ FERENC

Nie wystarczy pisać pisma, negocjować. Coraz częściej, żeby wygrać jakąś ludzką sprawę, trzeba się stawiać fizycznie. Blokować eksmisje. Ale też nie wypuszczać burmistrza z budynku gminy, aż ulegnie i umówi się na negocjacje. Ostatnio burmistrz, ten od mieszkania bez wody, napierał na mnie brzuchem. Byłoby to może i śmieszne, gdyby się lokator nie dusił. I częściowo się udało. Woda dociera na piętro, ale nie ma którędy odpływać.

Gdyby kraj był normalny, urzędnik umawiałby się i negocjował z nami, działaczami społecznymi. A tak trzeba wedrzeć się do gabinetu burmistrza, wójta, starosty i tam zwołać konferencję prasową. Wtedy się nagle urzędnik odnajduje i zaczyna rozmawiać.

Zbiera się Rada m.st. Warszawy. Jednym z punktów jest sprawa przydziału mieszkań komunalnych. Chcemy wejść na galerię, by uczestniczyć w debacie. Ale galeria jest już zajęta przez pracowników ratusza, którzy w ramach obowiązków służbowych blokują krzesła. Zaczynają już kilka godzin przed debatą. Na debatę społeczną nie ma szans. Dlaczego? Bo robią świństwa, których w debacie publicznej nie da się obronić. Więc pozakładali wszędzie domofony, blokady, postawili straże, żeby między władzą a społeczeństwem nie było kontaktu. Żeby zastąpić jakikolwiek dialog monologiem.

Pokonalibyśmy ich siłą argumentu. Więc aranżują sytuacje, w których to my, którzy mamy rację, zmuszeni jesteśmy przepychać się ze strażą, policją i wychodzimy na przemocowych. Drodzy rządzący, my nie chcemy się z wami przepychać.

Chcemy tylko doprowadzić do stanu, kiedy będziecie musieli nas wysłuchać i odpowiedzieć. Wtedy się okaże, że źle życzycie obywatelom, że ukrywacie szemrane interesy, że proste i praktyczne rozwiązania odrzucacie, bo nic na nich nie zarobicie pod stołem.

Taka otwarta publiczna debata pomoże oderwać was od żłobu. Doprowadzić do sytuacji, w której woda dociera na piętro i spływa rurami w dół.

Pan Irek jeździ, zmieniając biegi jedną ręką, bo władzy „nie stać", żeby dać mu jakąś rentę, zasiłek, żeby nie musiał. Taki zasiłek zaoszczędziłby nam wszystkim ryzyka. Ale bezpieczeństwo pojmuje się u nas szczególnie. Na armaty jest, na zasiłek – nie.

PIOTR IKONOWICZ

eprasa.pl e8f39059d9

Postęp jako źródło nieszczęścia

Socjalizm albo pustka

Jako nałogowy pracoholik, który przestaje tyrać wyłącznie w chwilach, gdy wlewa w siebie płynną odwagę, propozycję partii Razem, by skrócić tydzień pracy, przyjąłem, zmagając się z dysonansem. To zamach na moją higienę psychiczną! Moja podświadomość nie zna pojęcia relaksu. Zamiast palm, plaż i biustów śni mi się przodownik pracy. Widzę siebie z kilofem w kopalni albo przy betoniarce, ewentualnie jak z mozołem prostuję cudzą głupotę w jakimś sprawozdaniu. Słowo „urlop" brzmi dla mnie jak wyrok, a niedziela to dzień jałowy, w którym też nie daję się zmusić do bezczynności. Wolna sobota natomiast jest oksymoronem tej samej klasy co dietetyczny boczek. To po prostu nie występuje w przyrodzie.

Ministerstwo mniejszej roboty

Kiedy w 2022 r. partia Razem zaczęła bąkać o 35-godzinnym tygodniu pracy, uznałem to za typowy objaw nudy u ludzi, którzy zawodowo zajmują się zbawianiem świata. Potem jednak Adrian Zandberg przedstawił konkretny projekt. Mechanizm był iście magiczny: pracujemy o pięć godzin mniej, a portfel pęcznieje tak samo. Dla kogoś, kto wychował się w przekonaniu, że pieniądze biorą się z potu, brzmi to jak zapowiedź, że od głodówki się tyje, a od abstynencji dostaje marskości wątroby.

Na papierowych postulatach jednak się nie skończyło. Od stycznia 2026 r. ruszyło państwowe laboratorium błogostanu. Agnieszka Dziemianowicz-Bąk, minister od rodziny i – co w tym kontekście brzmi jak żart – od pracy, postanowiła sprawdzić, czy polski organizm wytrzyma większą dawkę bezczynności. Wybrano 78 królików doświadczalnych: urzędy, instytucje kultury i garść przedsiębiorstw, którym państwo płaci za to, aby ludzie pracowali krócej. Eksperyment trwa.

Jak kapitał polubił wolne soboty

Muszę na chwilę odłożyć bicz, którym smagam się do roboty, i zastanowić się, czy w tym lewicowym szaleństwie nie tkwi ziarno brutalnego rozsądku. Historia postępu to przecież nic innego jak kronika systematycznego skracania ludzkiej męczarni.

W XIX w., gdy dzieci i dorośli gnili w fabrykach po 14 godzin na dobę, postulat zejścia do 10 brzmiał jak zamach na fundamenty cywilizacji. Fabrykanci grzmieli, że wolny czas to dla plebsu prosta droga do pijaństwa i występku – zupełnie jakby sami po pracy zajmowali się wyłącznie lekturą pism świętych, a nie wizytami u luksusowych kurtyzan.

Kiedy w 1922 r. Henry Ford ogłosił, że w soboty jego robotnicy mają mieć wolne, „New York Herald" pękł ze śmiechu, wieszcząc triumf lenistwa. Tymczasem Ford udowodnił, że wypoczęty człowiek przy taśmie jest wart więcej niż półżywy wrak.

Roboty robią robotę

Cała nasza historia to pasmo takich „ekonomicznych herezji". Przechodziliśmy przez etapy: 14 godzin pracy, 10, osiem, aż wreszcie dopadła nas wolna sobota. Za każdym razem chór ekspertów wył, że gospodarka tego nie wytrzyma, a gospodarka – jak na złość – nie tylko wytrzymywała, ale i pęczniała. Skoro przeżyliśmy odejście od pracy dzieci i wolne weekendy, zapewne przeżyjemy również 35 godzin. To oczywiście nie znaczy, że zamierzam się z tym pogodzić bez walki.

Fakty są bezlitosne dla mojego prywatnego kultu katorżniczej harówki. Od stulecia budujemy maszyny, żeby robiły za nas, po czym z równie wielkim uporem udajemy, że nadal musimy wysiadywać w biurach osiem godzin, gapiąc się w ścianę.

W 2024 r. na świecie zainstalowano 542 tys. nowych robotów przemysłowych – to dwa razy więcej niż dekadę temu. Łącznie haruje ich już 4,7 mln. W Polsce pod koniec 2024 r. w zakładach pociło się 26,4 tys. takich stalowych niewolników, a ich liczba rośnie średnio o 11 proc. rocznie.

Prawdziwego spustoszenia dokonał jednak zwykły komputer. Kiedyś maszynistka stukała w klawisze, księgowy z mozołem liczył słupki, a sekretarka przekładała papiery z kupki na kupkę, co dawało im złudne poczucie bycia potrzebnym. Dziś robimy to jednym kliknięciem i jeszcze klniemy pod nosem, że trwało to aż trzy sekundy. Efekt? W Polsce wartość wytwarzana w ciągu godziny pracy skoczyła z 19,6 dol. w 1995 r. do 52,1 dol. w 2024 r. Jedna godzina dzisiejszej roboty jest warta dwa i pół razy tyle co trzy dekady temu.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

A teraz na ten plac budowy powszechnego bezrobocia wkraczają cyfrowe mózgi. Badania NASK i Międzynarodowej Organizacji Pracy są brutalne: w Polsce 5,08 mln miejsc pracy – czyli co trzecie – jest podatne na automatyzację. Wśród pracowników biurowych aż 71 proc. wykonuje zadania, które może przejąć sprawniejszy program. Wszystko wskazuje więc na to, że zmierzamy ku epoce, w której pensję będzie się pobierać za to, by nie plątać się maszynom pod nogami. Za dekadę 30 godzin tygodniowo będzie uchodzić za wyzysk, a 20 – za rozsądny kompromis. Cztery dniówki po pięć godzin, a resztę odwali za nas automat.

Gdy zabraknie poniedziałku

Ale właśnie tutaj, za rogiem tego raju dla leniuchów, czai się niebezpieczeństwo znacznie gorsze niż kryzys gospodarczy. To zapaść psychiczna gatunku, który nagle stracił swój kierat. Powiedzmy sobie uczciwie: praca przez stulecia była kagańcem nałożonym na ludzką pustkę. To ona organizowała nam życie. Wyznaczała porę sikania, moment wbicia zębów w obiad i jedyne wiarygodne usprawiedliwienie, dlaczego przez osiem godzin nie musimy oglądać gęby własnej żony czy męża. Praca dawała nam hierarchię, wrogów do nienawidzenia i kochanki w schowku na mopy.

Miliony Polaków nie mają zielonego pojęcia, kim są, ale doskonale wiedzą, gdzie mają się zameldować w poniedziałek o siódmej rano. Bez tego drogowskazu stają się bezradni jak dzieci we mgle.

Z bezczynnością bowiem, wbrew pozorom, nie jesteśmy zaprzyjaźnieni. Ile można grillować tę samą kiełbasę? Ile można piwkować i fotografować kota w coraz to głupszych pozach? W pewnym momencie nawet Netflix zaczyna wyglądać jak uciążliwy etat, a komentowanie polityki w internecie staje się pracą w warunkach szkodliwych dla zdrowia psychicznego.

Człowiek, któremu odbierze się kierat, wcale nie przeistoczy się nagle w renesansowego mędrca. Naiwnością byłoby sądzić, że zwolniony z fabryki czy biura suweren rzuci się do lektury Dostojewskiego, zacznie rzępolić na wiolonczeli czy z pasją zgłębiać ruchy ciał niebieskich.

Proletariat w stanie spoczynku

Znacznie bardziej prawdopodobne jest, że odda się czynnościom bliższym jego naturze: będzie żreć ponad miarę, pić do spodu i produkować w sieci ścieki nienawiści, szukając jakiegokolwiek zajęcia, które nada jego marnemu żywotowi pozory sensu.

Oto paradoks, który jest puentą naszej cywilizacji: przez tysiąclecia gatunek ludzki krwawił i pocił się, by wywalczyć sobie prawo do odpoczynku. A kiedy wreszcie dopiął swego, stoi przed tą odzyskaną wolnością bezradny jak eunuch w haremie.

Największą plagą nadchodzącej ery nie będzie zatem brak chleba, bo ten rzucą nam automaty. Prawdziwym przekleństwem będzie nuda. A nuda, jak uczy historia, jest znacznie bardziej toksyczna niż najcięższe nadgodziny w hucie. Człowiek, który nie ma co robić z rękami, zazwyczaj zaczyna nimi dusić bliźniego – choćby tylko z ciekawości, czy ten jeszcze dycha.

Dialektyka nielegalnego wysiłku

Wizja przyszłości jest taka: państwo podłącza nas do kroplówki z powszechnym dochodem, a cyfrowy zarządca decyduje, czy dziś mamy zjeść jarmuż, czy uprawiać seks z partnerem o optymalnym poziomie wilgotności. Największym dramatem egzystencjalnym staje się wtedy przepaść między jajecznicą a kolacją.

Społeczeństwo pęka na dwie części. Na dole mamy miliony biologicznych odpadów, których jedynym zadaniem jest nie psuć maszynom humoru i konsumować to, co wypluje automat. Na górze – wąska kasta wybrańców, którzy wciąż mają prawo do prawdziwego trudu. Etat staje się towarem luksusowym, symbolem statusu bardziej wyrafinowanym niż złoty zegarek czy jacht. Posiadanie biurka, przy którym można legalnie dostać wrzodów, to szczyt prestiżu.

Dochodzi do cudownych paradoksów. Powstają nielegalne meliny, gdzie za ciężkie pieniądze można pod osłoną nocy wkręcić śrubę albo, o zgrozo, przenieść worek cementu, czując na plecach słodki ciężar prawdziwego życia. Policja urządza naloty na te jaskinie pracy, a media grzmią o „czarnym rynku wysiłku".

Najbardziej radykalny motłoch wychodzi na ulice z transparentami „Oddajcie nam nadgodziny!", domagając się prawa do bycia wyzyskiwanym. Tymczasem elita broni ośmiogodzinnego dnia pracy jako dziedzictwa narodowego dostępnego tylko dla tych z najlepszym rodowodem. A potomek dawnego przodownika pracy, siedząc na kanapie z piwem wydrukowanym w 3D, z wypiekami na twarzy ogląda w telewizji transmisję z magazynu, gdzie jakiś szczęściarz przerzuca kartony. To jest ostateczne zwycięstwo postępu nad człowiekiem: sprawić, byśmy zaczęli marzyć o tym, przed czym nasi dziadkowie uciekali na barykady.

Dlaczego nie pójdę na emeryturę

Na szczęście mnie ta wizja nie dotyczy. Bezczynność mi nie grozi. Cały ten eksperyment opiera się bowiem na jednym podejrzanym założeniu: że istnieje jakaś skończona, policzalna pula roboty, którą ludzkość kiedyś po prostu wykona i będzie mogła spokojnie usiąść. Bzdura.

Rozejrzyjcie się wokół. Tu wszystko jest jeszcze do zrobienia, przebudowania albo przynajmniej popsute na tyle, żeby ktoś musiał się tym zająć. A przecież to dopiero Ziemia. Czeka Księżyc. Czeka Mars. Dalej miliardy gwiazd, planet i galaktyk, z których każda stanowi ogromny, dziewiczy plac budowy. Huk roboty przed nami. Będę harował nadal.

ROBERT JARUGA

Życie w dobrobycie

● GUS-owi po raz kolejny wyszło, że żyje nam się coraz lepiej. Przeciętny miesięczny dochód rozporządzalny wyniósł w 2025 r. 3500 zł na osobę. W ciągu roku urósł nominalnie aż o 10,5 proc., a po uwzględnieniu wzrostu cen – o 6,7 proc. Wydatki rosły wolniej. Przeciętny Polak wydawał miesięcznie 2015 zł na osobę, czyli nominalnie o 7,3 proc., a realnie – o 3,6 proc. więcej niż rok wcześniej. Jeszcze w 2024 r. gospodarstwa przeznaczały na wydatki 59,3 proc. dochodu rozporządzalnego, a w 2025 r. – już tylko 57,6 proc. Z prostego odejmowania 2015 zł od 3500 zł wychodzi nawet 1485 zł. Najwięcej mają pracujący na własny rachunek poza rolnictwem. W ich gospodarstwach przeciętny dochód rozporządzalny sięgał 4198 zł miesięcznie na osobę, czyli był o 19,9 proc. wyższy od średniej. Na drugim końcu dobrobytu znaleźli się renciści z dochodem wynoszącym 2541 zł na osobę, czyli aż o 27,4 proc. poniżej średniej. Rok wcześniej różnica wynosiła 22,7 proc. – wzrosła zatem. Między ich przeciętnym dochodem a dochodem pracujących na własny rachunek jest już 1657 zł miesięcznie. Rolnicy wyróżniają się z kolei najniższymi wydatkami. Przeznaczają na nie przeciętnie 1359 zł miesięcznie na osobę, czyli aż o 32,6 proc. mniej od średniej. Najwięcej pieniędzy przejadamy. Żywność pochłania 25,1 proc. wszystkich wydatków. Kolejne 19,4 proc. idzie na mieszkanie oraz energię. Jedzenie, mieszkanie i energia zabierają więc razem 44,5 proc. przeciętnych wydatków. Dopiero jednak podział Polaków według zamożności pokazuje, jak wygląda dobrobyt poza średnią. W najuboższej jednej piątej gospodarstw żywność, mieszkanie i energia pochłaniają równo 50 proc. wszystkich wydatków. W najbogatszej jednej piątej gospodarstw, te same pozycje stanowią tylko 37,1 proc. wydatków. Poprawę dobrobytu dostrzegają sami Polacy. Swoją sytuację materialną za dobrą albo raczej dobrą uznało 59,2 proc. gospodarstw wobec 57,7 proc. rok wcześniej. Źle lub raczej źle ocenia ją tylko 4,2 proc. Najbardziej zadowoleni są pracujący na własny rachunek, najmniej – renciści. Okazuje się zatem, że poczucie dobrobytu wykazuje nieustannie silny związek z ilością pieniędzy w portfelu.

● Agencja ratingowa Moody's uznała, że Polska zasługuje już nie na A2, ale na A3. Żeby jednak nie było całkiem ponuro, perspektywa ratingu zmieniła się z negatywnej na stabilną. Powodem jest kasa, której państwo nie ma, ale którą wydaje. Moody's przewiduje, że deficyt sektora rządowego i samorządowego będzie wynosił około 7 proc. PKB zarówno w 2026, jak i 2027 r. Dług publiczny ma zaś zwiększyć się z 59,7 proc. PKB w 2025 r. do 68,9 proc. w 2027 r. Agencja wskazuje m.in. na wysokie wydatki obronne, rosnące koszty ochrony zdrowia, inwestycji publicznych i obsługi długu. Można byłoby zatem sądzić, że zagraniczny inwestor poszuka kraju, któremu wystawiono ładniejszą literkę. Tyle że amerykański W. P. Carey właśnie wyłożył w Polsce 52 mln euro. Za te pieniądze kupił od Purmo Group dwa kompleksy przemysłowe w Rybniku i Wałczu. Nie są to przy tym niepotrzebne nikomu magazyny. Zakłady wytwarzają większość grzejników płytowych oferowanych przez Purmo Group. W. P. Carey nie jest przy tym amerykańskim funduszem, który wczoraj odkrył na mapie Polskę. Firma podaje, że inwestuje u nas od 2006 r., a przez te 20 lat wyłożyła już ponad 900 mln euro. Co w świecie biznesu świadczy, że nie ma się czym chwalić. Bo rating państwa i opłacalność konkretnego biznesu to dwie różne rzeczy. A obniżenie ratingu nie jest równoznaczne z zawieszeniem nad granicami Polski tablicy „inwestorom wstęp wzbroniony".


Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

● Polska jest już 20. największą gospodarką świata, a statystyczny obywatel z wrażenia przestał nawet pić piwo. Rynek tego trunku kurczy się bowiem już ósmy rok z rzędu. W latach 2018–2025 wyparowało z niego ponad 7,5 mln hektolitrów, czyli ponad 750 mln litrów piwa. W samym 2025 r. sprzedaż spadła o kolejne 5,5 proc. ilościowo i 4,1 proc. wartościowo, zaś pierwsza połowa 2026 r. przyniosła spadek sprzedaży piwa alkoholowego aż o 11,9 proc. rok do roku. Detaliczna cena piwa wzrosła w ostatnich latach o ponad 40 proc., a konsumenci najwyraźniej doszli do wniosku, że skoro jest drogo, to można pić mniej. Alkoholowe lagery straciły w 2025 r. 6,8 proc. sprzedaży. Rosną właściwie tylko piwa bezalkoholowe, których sprzedaż zwiększyła się o około 3 proc., a wartość tego segmentu doszła do 1,823 mld zł. W pierwszym półroczu 2026 r. zerówki urosły o 16,2 proc., zaś w samym czerwcu aż o 30,1 proc. rok do roku. Tyle że nawet ten cud nie jest w stanie zatkać dziury pozostawionej przez zwyczajne piwo. W latach 2019–2024 krajowa produkcja piwa zmniejszyła się z 39,744 mln do 34,560 mln hektolitrów, czyli o ponad 5,1 mln hektolitrów. A branża daje bezpośrednio i pośrednio pracę około 85 tys. ludzi. I tu na scenę wjeżdża znajdujący się w upadłości Browar Kościerzyna. Syndyk zażyczył sobie zań dokładnie 14 617 960 zł i 80 gr. Dokładność tych 80 groszy jest budująca, bo kiedy przedsiębiorstwo ma około 31 mln zł zobowiązań, każdy grosz się liczy.

● Drugi próg podatkowy to taka fiskalna granica, po której przekroczeniu człowiek dowiaduje się, że finansowo awansował, nawet jeśli sam tego awansu jakoś nie zauważył. Wynosił 120 tys. zł dochodu rocznie. Do tej kwoty fiskus brał 12 proc., a od nadwyżki chciał już 32 proc. I właśnie do tej podatkowej klasy wyższej zaczęli awansować nauczyciele. Według wiceprezeski ZNP około 30 proc. nauczycieli wpadało w drugi próg. Związkowcy domagali się więc podwyższenia progu. Tymczasem w kraju, w którym nauczyciele zastanawiają się, czy opłaca się brać kolejną szkolną nadgodzinę, rodzice zastanawiają się, skąd wziąć pieniądze na kolejną godzinę nauki swoich dzieci po szkole. Matka przyszłej maturzystki na samą matematykę wydaje miesięcznie ponad 1 tys. zł. Koleżanki córki chodzą zaś na prywatne zajęcia z kilku przedmiotów. Kobieta policzyła, że za pieniądze zostawiane u korepetytora rodzina mogłaby pojechać na „całkiem niezłe wakacje". Inna matka za matematykę oraz angielski syna płaci ponad 1,5 tys. zł miesięcznie. Znaczy mamy bezpłatną edukację, w której rodzic się zadłuża, żeby dziecko po zakończeniu bezpłatnych lekcji mogło pójść na płatne lekcje z tego, czego wcześniej nie nauczyło się bezpłatnie. Krajowa mediana stawki za korepetycje wynosi 70 zł za godzinę. Dokładnie tyle samo kosztują przeciętnie korepetycje online. Za wsparcie edukacyjne i przygotowanie do egzaminów trzeba płacić 75 zł, a za angielski, niemiecki oraz francuski po 80 zł za godzinę. I tak mamy bezpłatną szkołę, płatne korepetycje, nauczycieli walczących z 32-procentowym podatkiem, rodziców martwiących się rachunkiem na 1,5 tys. zł oraz uczniów martwiących się maturą. A MEN zajmuje się dietą planetarną.

TTJ

eprasa.pl e8f39059d9



Rys. MOHAMMAD SABAANEH

– Niektóre dzieci nigdy w życiu nie widziały jajka – mówi doktor Lim Chin Siah z organizacji Lekarze bez Granic, który na własne oczy widział ludobójstwo w Strefie Gazy. Doktor Chin był w Gazie od grudnia 2025 do lutego 2026 r., pełniąc funkcję kierowniczą w szpitalu polowym Az-Zawajda.

Personel szpitala pełni swoją misję nawet wtedy, gdy wokół szpitala spadają bomby. Chin zauważył intrygującą rzecz: każdy palestyński pacjent chciał się jakoś odwdzięczyć doktorowi, wręczając mu jabłko lub saszetkę kawy. Było to dla niego wzruszające. – Sami mają tak mało jedzenia, a mimo to chcą się z nami dzielić. Niektóre dzieci nigdy w życiu nie widziały jajka. Przez ostatnie dwa lata nie było dostępu do świeżej żywności. Gdy zaopatrzenie nieco się poprawiło, cieszyły się, że mogą zjeść takie jajko. Ci ludzie ogromnie cierpią. Tracą bliskich, ręce lub nogi, tracą domy, prawda? A mimo wszystko są tak życzliwi – mówi.

Spostrzeżenia lekarza potwierdzają moje obserwacje sprzed lat, gdy odwiedziłam Izrael i Zachodni Brzeg Jordanu. Palestyńczycy byli najmilszymi ludźmi pod słońcem, pełnymi życzliwości, co ich odróżniało od skrajnie wyniosłych i przekonanych o własnej wyjątkowości Żydów.

Jak podkreślają Lekarze bez Granic, Chin był był jednym z ostatnich pozostających w Gazie pracowników międzynarodowych. W lutym władze izraelskie nie przedłużyły rejestracji dla 36 organizacji międzynarodowych, zmuszając międzynarodowy personel do opuszczenia Strefy Gazy, co jeszcze pogorszyło i tak już tragiczny los Palestyńczyków. Nie oznacza to bynajmniej, że Lekarze bez Granic przestali nieść pomoc, lecz jedynie to, że czynią to wyłącznie rękami Palestyńczyków.

Lekarze i ratownicy medyczni są dla Izraela takim samym celem jak wszyscy – giną, są torturowani, ranni, trafiają do więzień. Wedle danych Healthcare Workers Watch od października 2023 r. Izrael zabił 1700 pracowników medycznych, a 95 uwięził. Los uwięzionych jest nie do pozazdroszczenia – często przebywają oni w złych warunkach i nie mają kontaktu z rodziną.

Okazuje się, że tzw. zawieszenie broni w Gazie jest czystą fikcją. Jak ujął to parę tygodni temu koordynator działań Lekarzy w Palestynie Ozan Agbas: – Po dziewięciu miesiącach Palestyńczycy nadal wyciągają dzieci spod gruzów. Rodziny wciąż chowają zmarłych. A przestrzeń, na której dwa miliony ludzi ma przetrwać, skurczyła się do jednej trzeciej powierzchni sprzed trzech lat. To nie jest zawieszenie broni. To ta sama strukturalna przemoc pod inną nazwą.

Państwo żydowskie, które dba o przychylność międzynarodową, sprytnie kontynuuje ludobójstwo, lecz w sposób na tyle mało intensywny, aby uniknąć międzynarodowego zainteresowania, a tym bardziej – potępienia.

Normalizuje cierpienie Palestyńczyków, zabija ich – średnio 10 dziennie, ale to za mało, by świat się tym jakoś szczególnie przejął – i czyni wszystko, aby uniemożliwić pomoc humanitarną mordowanym ludziom.

Warto pamiętać, że tzw. żółta linia, wynegocjowana w ramach zawieszenia broni pod pretekstem zapewnienia Izraelowi bezpieczeństwa, służy głównie wyzuciu Palestyńczyków z kolejnych ziem. Jak to działa, informuje Agbas: – Żółta linia się przemieszcza. Nie jest ani wyraźnie oznaczona, ani stała – przesuwa się na zachód, ilekroć siły izraelskie uznają to za stosowne. Bez negocjacji, bez ostrzeżenia i bez prawa poszerzania strefy. Niedawno pewna matka opowiedziała naszym zespołom, że jej 14-letni syn, cierpiący na zespół Downa, został pięciokrotnie postrzelony przez izraelskich snajperów w pobliżu żółtej linii, gdy bawił się niedaleko swojego domu. Żółta linia stała się ruchomą granicą, która więzi ludzi i naraża ich na ciągłą przemoc .

Kiedy ogłoszono rzekome zawieszenie broni, Palestyńczycy mieszkali na mniej więcej połowie Strefy Gazy, dziś jest to nie więcej niż 30 proc. jej obszaru. Czystki etniczne postępują. 90 proc. Gazańczyków zostało wysiedlonych, często wielokrotnie. Ludzie zmuszeni są wegetować w przepełnionych namiotach lub prowizorycznych schroniskach, bez dostępu do czystej wody czy prądu. Powszechnie występują u nich świerzb, infekcje dróg oddechowych, a także ukąszenia szczurów.

Wojska izraelskie nie dają wytchnienia tej garstce ludzi, która jeszcze mieszka we własnych domach, dokonując wysiedleń przeprowadzanych pod lufami karabinów. Izrael planuje zamknąć Palestyńczyków w ściśle kontrolowanych obozach – powiedzmy wprost: gettach, gdzie siły okupacyjne byłyby panami życia i śmierci.

Zakończę słowami zaczerpniętymi z głośnego eseju Omara El Akkada, „Któregoś dnia okaże się, że wszyscy byliśmy przeciwko”. Wspomina on o otwarciu ognia przez Izraelczyków do stojących w kolejce po jedzenie oraz śmierci dzieci z niedożywienia, które są komentowane w zachodnich mediach w następujący sposób: „Takie wydarzenia można omawiać w kontekście strategii – czy masowa zagłada dziesiątków tysięcy dzieci okaże się błędem taktycznym?”, „czy dziecko, które pochowało wszystkich członków rodziny, będzie w przyszłości stanowiło zagrożenie?”, „czy Hamas na tym skorzysta?” – ale brutalna przemoc, która w innych okolicznościach budziłaby realny strach, ostatecznie dotyczy insekta, a tylko głupiec słuchałby przemyśleń osy na temat jej zmiażdżenia”.

ZUZ

Tygrys południowoamerykański

Pejzaż Kolumbii pod rządami neoliberalnej prawicy

Już pięć dni po przejęciu władzy w sierpniu Abelardo de la Espriella – zwany Tygrysem – zaprosił do Kolumbii oddziały amerykańskie. Potwierdził to Pete Hegseth, sekretarz departamentu wojny USA. Hegseth wyjaśnił, że Kolumbia została włączona do programu tzw. Amerykańskiej Tarczy. Zadaniem wojsk USA będą szeroko zakrojone akcje zbrojne przeciw „terroryzmowi”.

Zaproszenie armii amerykańskiej do Kolumbii wzbudziło dyskusje i gorące protesty. Były prezydent Gustavo Petro i senator Iván Cepeda określili sprowadzenie do Kolumbii amerykańskich wojsk jako zamach na niepodległość. Gustavo Petro wykazał bezprawność decyzji „Tygrysa”, gdyż zgodnie ze 173 artykułem konstytucji Kolumbii tylko senat tego kraju jest uprawniony do ewentualnego zaproszenia obcych wojsk do Kolumbii.

Śmierć terrorystom!

De la Espriella w buńczucznym tonie zapowiedział zlikwidowanie wszystkich przywódców „terrorystów” oraz umieszczenie ich podwładnych w prywatnych więzieniach ulokowanych głęboko w amazońskiej dżungli. Prawicowe media wskazują, że działania bojowe będą prowadzone przeciw takim organizacjom jak Clan del Golfo, Ejército de Liberación Nacional, Autodefensas Conquistadores de la Sierra Nevada, Estado Mayor de los Bloques Magdalena Medio, La Coordinadora Nacional Ejército Bolivariano. Są to dość zróżnicowane organizacje. Clan del Golfo jest potężnym gangiem narkotykowym. Jego członkowie byli kontraktowani przez CIA do uczestnictwa w krwawych rozruchach przeciw Nicolásowi Maduro. Autodefensas Conquistadores de la Sierra Nevada są prawicową organizacją paramilitarną, zaś pozostałe organizacje powstały w wyniku podziałów w dawnych Rewolucyjnych Siłach Zbrojnych Kolumbii (FARC). Grupy te nie podpisały porozumienia z prezydentem Juanem Manuelem Santosem (2010––2018) i kontynuują walkę zbrojną przeciw kapitalizmowi.

Najsilniejsze jest ELN (Armia Wyzwolenia Narodowego), która działa głównie w północnych departamentach kraju. Bywa posądzana przez oficjalną prasę o handel narkotykami i działalność przestępczą. Dokładnie nie wiadomo, jaką liczbą zbrojnych dysponuje ELN, ale szacuje się, że od 13 do 27 tys. Obecnie jedną z najważniejszych postaci wśród partyzantów jest kobieta – Luz Amanda Pallares znana także jako Silvana Guerrero lub po prostu Ana María. Jest ona dowódcą Frente de Guerra Nororiental (Front Wojny Północno-Wschodniej), jednej z ważniejszych grup ELN. Silvana Guerrero jest chyba najdroższą kobietą świata. Rząd Kolumbii wyznaczył za jej głowę nagrodę 1,6 mld pesos (ponad 0,5 mln dol.). 11 sierpnia bomby spadły na Catatumbo, główny ośrodek Silvany, zaś armia rozpoczęła ofensywę. Oficjalne media donoszą o niezwykłych sukcesach. Podobno skapitulowało ponad 1000 „terrorystów”, ale nie podano z jakich organizacji. Zniszczono pięć obozów, dwa bunkry i magazyn dronów. Natomiast Guerrero wydała oświadczenie, w którym oskarżyła rząd o służenie Stanom Zjednoczonym, posługiwanie się najemnikami, mordowanie ludności cywilnej (wymieniła nazwiska trzech osób zabitych ostatnio przez wojsko) i zapowiedziała, że podległe jej oddziały podejmą walkę z rządem. „Ani kroku wstecz! Niezależność albo śmierć!” – powiedziała.



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Ratownikom dziękujemy

W Tolimie partyzanci ostrzelali dronami ratusz i posterunek policji. W Cauca drony uderzyły w dwa posterunki pobierania opłat drogowych, w Cesar dron zabił policjanta i ranił dwóch innych, w Antioquii uszkodził trzy samochody. W Lebriji doszło do krwawego starcia partyzantów z wojskiem. Zabity został m.in. księgowy ELN. Na drodze pod Bucaramangą żołnierze skonfiskowali 800 mln pesos przeznaczonych dla partyzantów. W departamencie Cesar został pochwycony niejaki Roman, szef finansowy z Clan del Golfo, który zgodził się skapitulować, ale na swoich warunkach.

Gdy de la Espriella rozpalał na nowo konflikt zbrojny, 10 sierpnia Kolumbię dotknęło potężne trzęsienie ziemi o magnitudzie 7,4. Epicentrum znajdowało się w północnym departamencie Choco, a wstrząsy dotknęły 15 z 32 departamentów. Według oficjalnych danych życie straciło 329 osób, 4187 jest rannych, a ok. 500 – zaginionych. Ponad 120 tys. rodzin doznało różnego rodzaju strat. Kilka dużych miast i 450 pomniejszych miejscowości jest mniej czy bardziej zrujnowanych. Straty ekonomiczne Kolumbii powstałe w wyniku tej katastrofy szacuje się na 25 proc. PKB i dotkną one boleśnie sektorów rolnictwa, transportu, zatrudnienia, zaopatrzenia i wymiany handlowej.

Prawicowy rząd wykazał się niezwykłą biernością wobec katastrofy. Prezydent podejmował decyzje zupełnie absurdalne. Obiecywał, że dla wszystkich uczniów natychmiast uruchomi lekcje zdalne przez internet, podczas gdy na obszarach katastrofy 88 proc. miejscowości nie ma prądu. „Tygrys” pojechał do Choco, ale nawet nie wysiadł ze swego samochodu, tylko przez okno machał do mieszkańców ręką i przesyłał buziaki. Samochód był szczelnie chroniony przez licznych ochroniarzy i policjantów. De la Espriella oświadczył, że instytucja odpowiedzialna za pomoc w przypadku katastrof – Unidad Nacional para la Gestión del Riesgo de Desastres (UNGRD) – nie ma pieniędzy wskutek złej polityki rządu Gustava Petro. Jednakże dyrektor UNGRD David Santiago Tamayo Roldán zaprzeczył słowom prezydenta, twierdząc, że instytucja dysponuje dostatecznymi funduszami, by pomóc poszkodowanym.

„Tygrys” odrzucił większość pomocy zagranicznej. Nie wpuszczono do Kolumbii ratowników z Meksyku, Brazylii, Japonii i Chin.

Prezydent zaprosił do pomocy USA, Izrael, Salwador i Ekwador. Stany Zjednoczone natychmiast wysłały swoje oddziały wojskowe w rejony trzęsienia ziemi. Wojska amerykańskie starały się zająć pozycje strategiczne z militarnego punktu widzenia.

Izrael wysłał 82 żołnierzy. Przetrząsali oni zawalone budynki, ale nie ratowali uwięzionych ludzi. Informacje nadchodzące z terenów katastrofy wskazują, że pomoc dla poszkodowanych jest bardzo fragmentaryczna. Brakuje wody, elektryczności, komunikacji. Ludzie muszą radzić sobie sami i korzystać z nikłej pomocy władz lokalnych. Według niektórych doniesień mediów społecznościowych (np. Diario Político) w mieście Pereira ratowani są głównie obywatele mający znajomości na różnych szczeblach władzy. „Tygrys” ogłosił, że zorganizuje dla poszkodowanych nowy Plan Marshalla, co może być blefem propagandowym. Słynna piosenkarka kolumbijska Shakira odwiedziła departament Choco i zapowiedziała, że ze swego majątku przeznacza milion dolarów na odbudowę 10 szkół i Uniwersytetu Technicznego w Choco. Wzbudziło to zawiść prezydenta. W mieście Barranquilla znajduje się pomnik piosenkarki ufundowany przez jej wielbicieli. Według niektórych mediów społecznościowych „Tygrys” zapowiedział, że każe go rozebrać.

Ogniem i frackingiem

Trzęsienie ziemi i jego skutki wywołały wielką dyskusję w Kolumbii. Niektórzy uważają, że kataklizm jest efektem różnych podejrzanych doświadczeń amerykańskich prowadzonych przez HAARP (High Frequency Active Auroral Research Program), co jest jednak mało prawdopodobne. De la Espriella okazał się wielkim zwolennikiem amerykańskiej metody wydobywczej frackingu (wydobywania surowca ze skał o niskiej przepuszczalności, np. łupków). Zadecydował o przyznaniu firmie Drummond Energy licencji wydobywania ropy naftowej w departamencie Cesar. Drummond Energy jest kolumbijską spółką powiązaną z kapitałem amerykańskim. Pojawiły się protesty zmierzające do zablokowania decyzji prezydenta. Głos zabrał m.in. profesor Camilo Prieto Valderrama z Pontificia Universidad Javeriana w Bogocie, specjalista w dziedzinie zrównoważonego rozwoju, polityki energetycznej i filozofii. Stwierdził on, że fracking nie tylko przyczynia się do zatrucia wody i gleby, ale także może prowokować trzęsienia ziemi. Wskazał na przykłady korelacji stosowania frackingu i pojawiania się trzęsień ziemi w stanie Oklahoma.

Ponadto w ostatnich dniach sierpnia odnotowano w Kolumbii 19 wielkich pożarów lasów w sześciu departamentach. Gustavo Petro poinformował, że pożary te są zaplanowaną akcją związaną z aktywnością izraelskich żołnierzy w tym rejonie. Zdaniem byłego szefa państwa obecny rząd planuje spalone obszary sprzedać Izraelowi.

W tym samym czasie w miejscowościach w departamencie Norte de Santander trwają bombardowania i walki. De la Espriella zerwał wszelkie pertraktacje z tzw. terrorystami. „Tygrys” chce pokazać, że naprawdę jest twardzielem. Ma pieniądze na wojnę, ale nie ma dla poszkodowanych przez klęski żywiołowe. W istocie rzeczy nie chodzi o zwalczanie tzw. terroryzmu, ale o to, by zastraszyć ogół Kolumbijczyków i zmusić ich do zaakceptowania antyspołecznych, neoliberalnych reform.

ANDRZEJ ULMER

eprasa.pl e8f39059d9

Wkurwione wnuki Mélenchona

Francuski sojusz pokoleń



ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Kiedy myślicie, że ikoną protestów uczniów szkół średnich we Francji będzie jakiś zbuntowany nastolatek, to nie możecie być dalsi od prawdy. Jean-Luc Mélenchon, 74-letni lider radykalnej lewicy, który mógłby być dziadkiem wkurwionych demonstrantów, stał się ideowym sojusznikiem młodzieży, mówiącym bliskim jej językiem i popierającym jej słuszne postulaty.

Mélenchon nie pierdoli się w tańcu. Wezwał swoich zwolenników do „przeciwstawienia się przemocy policji" i dodał: „Nie będzie ani zapomnienia, ani przebaczenia dla nikogo". Potem się nieco zmitygował, pisząc na X, że członkowie jego partii Francja Nieujarzmiona (LFI) „wzywają do stosowania metod walki bez użycia przemocy".

Burmistrz z ramienia LFI z Saint-Denis na północnych przedmieściach Paryża Bally Bagayoko był oklaskiwany przez protestujących w pobliżu liceum im. Paula Éluarda, gdzie doszło do starć z funkcjonariuszami policji. Zaznaczył, że „przemoc nie jest naszą metodą działania", choć dzień wcześniej zwrócił uwagę, iż „przemoc może być uzasadniona", ale zastrzegł, że „lepiej jej unikać". Istnieje nagranie, na którym Bagayoko stoi przed protestującymi z rozpostartymi ramionami, wzywając policję do zaprzestania działań. Zamiast tego obrzucili go gazem łzawiącym.

Prawicowy rząd i duża część mediów oskarżają Mélenchona, że podsyca protesty, aby wykorzystać je dla partykularnych celów politycznych. Trudno jednak uznać, że uczniowie 500 liceów (ok. 10 proc. wszystkich szkół średnich we Francji) dają się uwieść staremu lewakowi, który nimi manipuluje. Nie zapominajmy również, że część nauczycieli wspiera protesty uczniów, domagając się większych nakładów finansowych na szkolnictwo. Krytyka ze strony bezprecedensowo niepopularnych władz przysporzyła jeszcze popularności LFI w szkołach średnich, gdzie już wcześniej radykalna lewica była dobrze przyjmowana.

Mélenchon stwierdził wprost: – W dziedzinie edukacji, podobnie jak we wszystkich innych usługach publicznych, polityka oszczędnościowa i cięcia budżetowe doprowadziły do niemal całkowitego załamania systemu.

Przeciwko LFI wypowiedzieli się przedstawiciele służb porządkowych. Michel Chaballier z Krajowego Związku Komisarzy Policji wyraził obawę, że „klimat polityczny uległ radykalizacji" i coraz trudniej o spokojną debatę publiczną. I dodał: – Funkcjonariusze policji znajdują się w samym środku tych napięć społecznych, które czasami podsycają nieodpowiedzialni politycy.

Jak czytamy na blogu prestiżowego dwutygodnika „London Review of Books", Francuzi protestują „przeciwko chronicznemu niedofinansowaniu, które doprowadziło nie tylko do niedoboru nauczycieli, ale także do przeciekających dachów, brakujących żarówek, zepsutych toalet, okien, których nie da się otworzyć ani zamknąć, oraz sal lekcyjnych, w których zimą jest lodowato, a latem upalnie. Projekt budżetu na przyszły rok przewiduje likwidację kolejnych 1588 etatów nauczycieli, których wynagrodzenia nie zmieniły się od czterech lat".

Wedle sondażu portalu Politico aż 47 proc. osób w wieku do 35 lat zamierza głosować w wyborach prezydenckich na Mélenchona, a wśród respondentów w wieku do 24 lat ta przewaga jest jeszcze większa.

Ponad 75 proc. osób do 30. roku życia, jak pokazało badanie opinii publicznej, martwi się stanem kraju. Bunt niesie się też w mediach społecznościowych. Jak pisze portal BBC, „w mediach społecznościowych szybko pojawiły się filmy przedstawiające szczury biegające po korytarzach innych liceów, które stały się uderzającymi symbolami niezadowolenia. Inne filmy na TikToku i Instagramie pokazywały zniszczone toalety, dziury w ścianach i spleśniałe sufity w całym kraju. Uczniowie skarżą się na nieznośny upał latem i zamarzające sale lekcyjne zimą. Gniew skupił się również na długich godzinach zajęć, chronicznym braku kadry, przepełnionych klasach oraz głęboko niepopularnym systemie rekrutacji na studia".

LFI ma nadzieję, że w ślad za uczniami i nauczycielami pójdą inni wkurwieni polityką kolejnych ulg podatkowych dla najbogatszych i dokręcania śruby zwykłym ludziom.

Protesty podsycała też przemoc policyjna. Kilku uczniów odniosło poważne obrażenia w wyniku agresji ze strony funkcjonariuszy. 16-latek z Argenteuil prawdopodobnie stracił wzrok w lewym oku. 14-latkowi z Saint-Ouen-l'Aumône granat z gazem łzawiącym złamał szczękę w dwóch miejscach. 15-latek z Lens stracił rękę w wyniku obrażeń doznanych po wybuchu granatu ogłuszającego. Ogółem rannych zostało co najmniej 200 uczniów i kilkudziesięciu nauczycieli.

Minister spraw wewnętrznych Laurent Nuñez oświadczył, że policja zawiesza stosowanie przeciwko protestującym granatów ogłuszających. Gwoli prawdy, rany odniosło też ponad 700 funkcjonariuszy policji.

Policja zatrzymała w sumie ponad 7 tys. osób, z czego 85 proc. stanowią nieletni. Nie przez przypadek na jednym z transparentów można było znaleźć hasło: „Za młodzi, by nas wysłuchano. Wystarczająco dorośli, aby nas gazowano".

W protestach uczestniczą dziesiątki tysięcy ludzi, młodzież może liczyć na wsparcie organizacji lewicowych. Część komentatorów podkreśla, że

postulaty demonstrujących są żywcem przejęte od nauczycieli, którzy od lat próbują zwrócić uwagę rządzących na podupadające szkolnictwo. Władza nie słuchała grzecznych pism belfrów, musi teraz zmierzyć się z masowymi wystąpieniami wściekłych nastolatków.

Oczywiście rząd próbuje tonować nastroje i pójść na pewne ustępstwa, obiecując choćby zatrudnienie w najbliższych dniach 3 tys. dodatkowych nauczycieli. Premier Sébastien Lecornu zapowiedział, że do końca października zostanie przedstawiony plan reagowania na kryzys. Ministrowie mają ponownie przyjrzeć się finansom przeznaczonym dla szkół w ramach przyszłorocznego budżetu.

Z całego serca kibicujemy francuskim młodziakom i ich niespodziewanemu ideowemu dziadkowi. Tylko jak zwykle w takich razach człowiek zastanawia się, co by się musiało zdarzyć, aby wkurwienie młodych w Polsce wyprowadziło ich na ulicę… Pewne jednak jest, że nie mogliby liczyć na wsparcie Włodka Czarzastego ani nawet wikinga Zandberga. Jak powiedziała pewna pani z PO, sorry, taki mamy klimat!

KATARZYNA KOENIG

Wrażliwość Bibiego

Izrael na wojnie z mediami



Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

23 października do polskich kin wejdzie film „NAZA". Obraz stworzyli filmowiec i dziennikarz śledczy Yuval Abraham oraz Rachel Szor, reżyserka i operatorka filmowa. Dokument składa się z relacji byłych i obecnych członków izraelskich struktur wojskowych, którzy opowiadają o systemach, które sami współtworzyli i obsługiwali. Izraelscy oficerowie odsłaniają mechanizmy podejmowania decyzji, w wyniku których dokonywano systemowych mordów na palestyńskich cywilach w Gazie. Od technologii i procedur po sposoby, w jaki konkretne decyzje rozprasza się pomiędzy ludzi i algorytmy. Film zdobył prestiżową Nagrodę Specjalną Jury podczas 83. Międzynarodowego Festiwalu Filmowego w Wenecji. Izraelski minister kultury Miki Zohar zagroził jego twórcom odebraniem obywatelstwa.

Słowo „NAZA" to oficjalny izraelski akronim wojskowy, który oznacza „straty uboczne". Termin odnosi się bezpośrednio do szacowanej i odgórnie akceptowanej liczby cywilów, którzy mogą stracić życie lub zdrowie w trakcie konkretnej operacji wojskowej. Z przedstawionych w filmie zeznań sygnalistów wynika, że termin „NAZA" stał się wewnątrz struktur wojskowych odhumanizowanym wskaźnikiem matematycznym. Wojskowi używają go do określania limitów śmierci osób postronnych podczas np. bombardowania. Taka dajmy na to formuła „50 NAZA" oznacza zgodę na to, że przy eliminacji wskazanego celu do piachu pójdzie 50 cywilów.

Film jest efektem trzyletniej pracy śledczej i dziennikarskiej. Wiele ustaleń, do których twórcy docierali podczas pracy nad obrazem, było publikowanych na bieżąco przez „The Guardian", we współpracy z izraelsko-palestyńskim internetowym magazynem +972 oraz Local Call. Brytyjski dziennik jest też jednym z producentów filmu.

Na początku października Siły Obronne Izraela (IDF) wydały kilkustronicowe oświadczenie, w którym odrzucono ustalenia dokumentu, oskarżając twórców o przedstawienie „skrajnie zniekształconego, wprowadzającego w błąd i nieszczerego obrazu rzeczywistości". Według izraelskiej armii film opiera się na „manipulacjach i rażących błędach faktograficznych".

„Jesteście hańbą i powodem do wstydu dla całego narodu izraelskiego. Odejdźcie!" – napisał w social mediach szef MSW Izraela Itamar Ben-Gwir i dodał: „Jestem pewien, że wasi przyjaciele – czyli nasi wrogowie, Hamas w Strefie Gazy – przyjmą was z otwartymi ramionami". Szef rządu Binjamin Netanjahu potępił dokument i określił go mianem krwawego oszczerstwa. Będący na finiszu kampanii wyborczej Bibi natychmiast wezwał do zaostrzenia przepisów prawa, które ułatwiłyby państwu pozbawienie obywatelstwa osób „działających na szkodę wizerunku w kraju i za granicą". Na deser dorzucił propozycję, by do blisko 1 mln szekli podnieść grzywnę za zniesławienie. „Uderzymy ich w kieszeń i obywatelstwo, bo nie ma dla nich miejsca wśród nas" – perorował.

Film nie trafił jeszcze do oficjalnej dystrybucji w Izraelu, ale za to reżyserzy dostali groźby śmierci, a ich rodziny były nękane. Twórców wsparła izraelska organizacja praw człowieka B'Tselem. Pomimo rządowej nagonki ponad 1,5 tys. izraelskich filmowców i ludzi kina podpisało petycję w obronie reżyserów. Potępili oni działania rządu jako próbę cenzury i eskalacji nienawiści, która zagraża wolności słowa. Chciałoby się zapytać, czy takowe jeszcze w Izraelu istnieją, bo to niejedyny wyskok Netanjahu i jego pobratymców na niezależność mediów.

W 2024 r. miała miejsce premiera innego głośnego dokumentu „Akta Bibiego". Materiał wyprodukował zdobywca Oscara Alex Gibney, wyreżyserowała go Alexis Bloom. Film opiera się na ponad tysiącu godzin nagrań wideo z przesłuchań policyjnych Bibiego, jego żony Sary oraz syna Jaira. Policyjne trzepanko dotyczyło głośnych spraw korupcyjnych najważniejszej rodziny w Izraelu – wyłudzeń, przyjmowania łapówek i szeroko pojętego nadużycia zaufania.

Prawnicy Netanjahu w trybie pilnym podjęli kroki prawne, próbując przed sądem w Jerozolimie zablokować międzynarodowe pokazy filmu. Argumentem przewodnim była idea, że publikacja materiałów z przesłuchań bez zgody sądu łamie izraelskie prawo. Nie udało się. Film otrzymał jedynie zakaz dystrybucji kinowej i medialnej w Izraelu. Premier i jego ekipa natychmiast zaatakowali twórców i media, określając dokument mianem politycznie motywowanej propagandy spreparowanej przez lewicę w celu dokonania zamachu stanu.

Zakaz dystrybucji odniósł skutek odwrotny do zamierzonego. Izraelczycy masowo ruszyli do oglądania filmu nielegalnymi ścieżkami. Dla liberalnej części społeczeństwa, która już wcześniej protestowała przeciwko reformom sądownictwa Netanjahu, materiał stał się ostatecznym dowodem na potwierdzenie podejrzeń.

Teza dokumentu była jasna: Netanjahu celowo przedłuża wojnę w Gazie i pieści się ze skrajną prawicą, bo tylko trwanie u władzy uchroni go przed pójściem do pierdla.

Doświadczenie było szczególnie bolesne dla obywateli Izraela z jeszcze jednego powodu: okazało się, że Bibi prowadził świadomą politykę, która pozwalała na funkcjonowanie i wzmacnianie Hamasu.

Netanjahu wielokrotnie powtarzał, że wszelkie międzynarodowe próby rozliczania go – czy to przez media, czy Międzynarodowy Trybunał Karny w Hadze, są formą „nowego antysemityzmu" i uprzedzeń wobec państwa żydowskiego. Srali muchy.

27 września 2026 r. Binjamin Netanjahu odbył tajną, kurtuazyjną wizytę w Abu Zabi. Poleciał prywatnym odrzutowcem, żeby spotkać się z prezydentem Zjednoczonych Emiratów Arabskich szejkiem Mohamedem bin Zayedem Al Nahyanem. W delegacji uczestniczyli m.in. szef Mossadu, szef Rady Bezpieczeństwa Narodowego i wysocy oficerowie Shin Bet – izraelskiej służby kontrwywiadu i bezpieczeństwa wewnętrznego. Wizyta miała pozostać niejawna, ale izraelska telewizja Channel 12 ujawniła fakt lotu jeszcze tego samego wieczoru.

Kilka tygodni wcześniej lewicowy izraelski dziennik „Haaretz" opublikował śledztwo oparte na książce „Hostages: 843 Days of Abandonment", z którego wynikało, że Mohamed bin Zayed Al Nahyan blisko dwa tygodnie przed krwawym zamachem z 2023 r. miał osobiście ostrzec Netanjahu w 45-minutowej rozmowie o planowanej „niespodziance" terrorystów z Hamasu. Bibi stanowczo zaprzeczył. Raport nazwał absolutnym, motywowanym politycznie kłamstwem. Zapowiedział też procesy o zniesławienie przeciwko „Haaretz" i jej dziennikarzom.

Izraelski rząd oskarżył także dziennikarzy najpopularniejszej stacji telewizyjnej o ujawnienie operacyjnych metod działania co miało zwiększać „zagrożenie życia premiera i jego delegacji", domagając się pociągnięcia stacji do pełnej odpowiedzialności karnej. Channel 12 w oficjalnym komunikacie odpowiedział, że w Izraelu dochodzi do niebezpiecznej eskalacji zastraszania wolnych mediów: „To prawdziwy sygnał alarmowy. Krew dziennikarzy Channel 12 nie jest tanim łupem… Nie ugniemy się, nawet w obliczu nacisków legislacyjnych, podżegania i przemocy".

IDALIA DUBICKA

eprasa.pl e8f39059d9

Pomijany w mediach przykład kolejnego transferu z budżetu państwa do księżych kieszeni

Kościół daje szkołę



Rys. MIROSŁAW HAJNOS

Katolicka edukacja nie jest jednym produktem dla jednej grupy społecznej. Ma szkoły publiczne i niepubliczne, płatne i bez czesnego, wielkomiejskie licea i niewielkie podstawówki, technika, szkoły specjalne, artystyczne i branżowe. Do tego dochodzi sektor przedszkolny,

który nawet formalnie nie mieści się w statystyce Rady Szkół Katolickich. Zakonnice prowadzą ponad 360 przedszkoli publicznych i niepublicznych. Chodzi do nich ponad 27 tys. dzieci. Przedszkola katolickie formalnie nie należą do Rady Szkół Katolickich, choć z nią współpracują, a część podstawówek ma jeszcze własne oddziały przedszkolne.

Bo jeśli ktoś sądzi, że kościelna edukacja sprowadza się do liceum dla dzieci prawników i rodziców przekonanych, że mniejsza klasa oraz zakonnica na korytarzu uchronią pociechę przed narkotykami, seksem i TikTokiem, to przeoczył 355 uczniów szkół branżowych i 13 branżowych szkół I i II stopnia znajdujących się w sektorze szkolnictwa specjalnego.

Lekcja religii w publicznej szkole jest dla nastolatka dodatkiem. Może z niej zrezygnować, a gdy religia wypadnie na pierwszej albo ostatniej godzinie, zysk jest wręcz natychmiastowy i da się go zmierzyć długością snu. Szkoła katolicka sprzedaje rodzicowi cały pakiet. Dyscyplinę, mniejsze klasy, określone środowisko wychowawcze, dodatkowe zajęcia, języki, poczucie bezpieczeństwa, wspólnotę i dopiero razem z tym wszystkim katolicyzm. I to działa również na ludzi, którzy z kościelną ortodoksją nieszczególnie się utożsamiają.

Sama Rada Szkół Katolickich przyznaje, że do placówek trafiają dzieci z rodzin, które na co dzień nie żyją wiarą katolicką, a nawet wyznawcy innych religii. Rodzice mają tylko zaakceptować statut, program i cennik.

Gdyby kondycję Kościoła w Polsce mierzyć szkolnymi lekcjami religii, należałoby już szykować ostatnie namaszczenie. W roku szkolnym 2024/2025 uczestniczyło w nich 75,6 proc. uczniów, podczas gdy rok wcześniej – 78,6 proc., a dwa lata wcześniej 80,3 proc. W podstawówkach na religię chodziło 86,4 proc. dzieci, ale w technikach – już 54,2 proc., zaś w liceach – ledwie 48,1 proc. W archidiecezji warszawskiej było to niewiele ponad 52 proc., podczas gdy w diecezji tarnowskiej – 96,1 proc. Co gorsza dla katechetów, raport „Młodzież 2025” pokazuje, że proces nie zamierza się zatrzymać. Nawet wśród głęboko wierzących i wierzących odnotowano spadek uczestnictwa w katechezie w ciągu pięciu lat po 26 punktów procentowych. Wśród młodzieży w ogóle niepraktykującej religijnie odsetek chodzących na religię skurczył się z 32 do 14 proc.

Wydawać by się zatem mogło, że jeśli młodzież nie chce nawet przesiedzieć jednej godziny z katechetą, to tym bardziej nie będzie chciała spędzać pięciu dni w tygodniu w placówce, w której Jezus nie jest przedmiotem fakultatywnym, tylko fundamentem całego interesu edukacyjnego. Nic z tych rzeczy.

Z koloratką od zerówki do matury

Kościół katolicki ma bowiem w Polsce coś znacznie potężniejszego od szkolnej katechezy – własny system edukacyjny. Katolicka oświata to dziś sieć obejmująca szkoły podstawowe, licea, technika, szkoły artystyczne, specjalne, przysposabiające do pracy i szkoły branżowe, znaczy zawodówki.

Według zestawienia Rady Szkół Katolickich sieć liczy 483 szkoły. Jest w niej 260 podstawówek, 137 liceów ogólnokształcących, 17 techników, pięć szkół branżowych I stopnia, cztery ogólnokształcące szkoły artystyczne, pięć szkół artystycznych bez kształcenia ogólnego oraz 55 szkół specjalnych. W tych ostatnich mieści się kolejny edukacyjny świat: 27 podstawówek, trzy licea, technikum, 13 szkół branżowych I i II stopnia oraz 11 szkół przysposabiających do pracy.

Według tych samych danych w szkołach katolickich było 74 170 uczniów, z tego 47 246 w podstawówkach, 22 165 w liceach, 2195 w technikach, 1598 w szkołach specjalnych, 442 w ogólnokształcących szkołach artystycznych, 355 w szkołach branżowych i 169 w szkołach artystycznych bez kształcenia ogólnego. W sumie około 1,5 proc. wszystkich uczniów w kraju.

Jest tylko jeden problem. Liczby te trzeba traktować ostrożniej, niż czynią to kościelne media. Zestaw 74 170 uczniów został opublikowany przez Katolicką Agencję Informacyjną już jako stan roku szkolnego 2022/2023. Tymczasem w czerwcu 2026 r. Vatican News, eKAI i kolejne katolickie portale ponownie poinformowały, że we właśnie kończącym się roku szkolnym 2025/2026 system katolicki ma dokładnie 74 170 uczniów. Ani jednego więcej, ani jednego mniej. Trudno uwierzyć w trzyletni cud statystyczny, podczas którego ponad 74 tys. dzieci kończy szkoły, zaczyna je, przenosi się, zdaje i nie zdaje, a licznik stoi. Rozsądniej powiedzieć więc, że w czerwcu 2026 r. kościelne instytucje opowiadały o 74 tys. uczniów i około 1,5 proc. szkolnej populacji. Ale faktem jest, że żadnego katolickiego armagedonu edukacyjnego tu nie widać.

Od dwóch tuzinów do pół tysiąca

Gdy spojrzeć na ostatnie trzy dekady, skala ekspansji robi się wręcz całkiem imponująca. W 1989 r. w Polsce istniały zaledwie 24 szkoły katolickie. Wszystkie były ponadpodstawowe. W 1993 r. szkół było już 78. W 2004 r. – 413, dziś – 483. Od końca komuny sieć zwiększyła się ponad 20-krotnie.

Szkoła katolicka nie musi należeć do proboszcza, zakonnic czy biskupa. Formalnie może nią być placówka kierowana przez władzę kościelną albo kościelną osobę prawną, ale może nią zostać również szkoła prowadzona przez inny podmiot, jeżeli zostanie uznana przez właściwą władzę kościelną. W praktyce organ prowadzący występuje do biskupa diecezjalnego o zgodę na używanie określenia „szkoła katolicka”. Placówka musi spełnić wymagania dotyczące charakteru wychowania i kadry, a potem podlega kościelnemu nadzorowi. Bez biskupiego błogosławieństwa można być bardzo chrześcijańskim, nosić imię Jana Pawła II i śpiewać „Barkę” na akademii, a formalnie szkołą katolicką nie być.

Najciekawiej robi się oczywiście przy pieniądzach, bo mniej więcej połowa szkół katolickich ma status szkół publicznych. A publiczna szkoła katolicka czesnego nie pobiera.

Szkoła może wychowywać zgodnie z katolickim systemem wartości, podlegać kościelnemu nadzorowi i jednocześnie być finansowana ze środków publicznych. Z kolei szkoły niepubliczne również nie utrzymują się wyłącznie z pieniędzy wyciąganych rodzicom z portfela. Otrzymują dotacje od państwa, a oprócz tego mogą pobierać czesne.

Od 2025 r. zmienił się mechanizm finansowania oświaty samorządowej i zamiast wcześniejszej części oświatowej subwencji ogólnej funkcjonują kwoty potrzeb oświatowych. Nie zmieniła się jednak podstawowa zasada, że przewidziane prawem szkoły niesamorządowe uczestniczą w publicznym finansowaniu. Bo Jezus Jezusem, ale kasa musi się zgadzać.

Dla rodzica niepubliczna szkoła katolicka potrafi być wydatkiem całkiem doczesnym. Przykładowo w warszawskim liceum sióstr zmartwychwstanek stawki ogłoszone na rok szkolny rozpoczynający się we wrześniu 2026 r. wynoszą dla klas I–III 1500 zł miesięcznie płatne przez 12 miesięcy. Daje to 18 tys. zł rocznie. Klasa IV płaci 1800 zł przez 10 miesięcy, czyli również 18 tys. zł. Do tego internat kosztuje 800 zł miesięcznie przez 10 miesięcy. Razem z czesnym robi się więc 26 tys. zł rocznie, zanim rodzic kupi dziecku zeszyt, buty czy kanapkę.

Nie wszędzie jest tak drogo. W innych katolickich placówkach można znaleźć czesne rzędu kilkuset czy około tysiąca złotych miesięcznie, są też ulgi dla rodzeństwa. A ponieważ około połowa szkół katolickich jest publiczna, w znacznej części tej sieci czesnego nie ma wcale. To zresztą doskonale pokazuje siłę systemu.

Święta centrala

Nie jest też tak, że te kilkaset placówek żyje każda sobie. W 1994 r. Konferencja Episkopatu Polski powołała wspomnianą wcześniej Radę Szkół Katolickich. Rada zapewnia szkołom współpracę, szkolenia, formację i pomoc prawną. Organizuje dokształcanie nauczycieli i wychowawców, koordynuje współpracę. No i ma swój regularny kalendarz imprez.

W listopadzie 2025 r. odbywało się już XXXV Ogólnopolskie Forum Szkół Katolickich, poprzedzone konferencją dyrektorów. W marcu 2026 r. Rada zwoływała na Jasnej Górze kolejną Konferencję Dyrektorów Szkół Katolickich. We wrześniu organizowane jest osobne Forum Młodzieży. Po tej centralizacji najlepiej widać, że nie chodzi jedynie o prowadzenie szkół z krzyżem nad tablicą.

Na wrześniowe Forum Młodzieży Szkół Katolickich przyjechało na Jasną Górę blisko 1300 uczniów różnych szkół średnich z kilkuset placówek. Hasłem imprezy było „Rodzina. Tu rodzi się miłość”. I głównie pomstowano na obowiązkową edukację zdrowotną, na której „rodzina jest pokazywana w negatywnych aspektach, podczas gdy szkoły katolickie chcą młodym pokazać jej pozytywny obraz”.

I nie bez racji biskup świdnicki Marek Mendyk, odprawiający na spędzie mszę, patrząc na uczniów szkół katolickich, mówił, że „jest w narodzie duch” i „jeszcze nie wszystko stracone”. Z punktu widzenia Kościoła miał wszak powody do optymizmu.

TOMASZ BOROWIECKI

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ *Nie istnieje bezpieczna aborcja.* ***Tak jak nie ma bezpiecznego morderstwa czy bezpiecznego samobójstwa.***

ks. Daniel Wachowiak, X, 29 września

■ *Wielu ludzi idealizuje świat zwierząt, uważając, że jest bardziej ludzki i humanitarny niż sami ludzie. (…)* ***Gdzie szukać początku tego procesu deprecjacji człowieka? Wydaje mi się, że ziarenko tej niechęci do homo sapiens paradoksalnie można znaleźć w renesansie, który w centrum świata na miejscu Boga zaczął stawiać człowieka. Oświecenie i pozytywizm coraz bardziej eliminowały Boga z horyzontu człowieka, równocześnie coraz bardziej fanatycznie wierzyły w potęgę ludzkiego rozumu i techniki przez niego tworzonej, a zarazem miały coraz większą pogardę wobec człowieka jako takiego. (…) Kiedy z cywilizacji usuwa się obecność Boga, wtedy ginie też wartość tego, którego stworzono na boskie podobieństwo. Jeśli wzór jest fikcją, to kopia jest nicością. Człowiek bez Boga nic nie znaczy, nie jest nikomu potrzebny, nie ma prawa na uprawianie ogrodu, którego nikt mu nie przekazał w dzierżawę.***

o. Damian Wojciechowski TJ, Opoka.org.pl, 5 października

■ *Pan Bóg wiele razy dopuszczał sytuacje krańcowe, w których Europa nieomal przestawała istnieć. Z woli Opatrzności te ciężkie doświadczenia nie przynosiły jednak nigdy zagłady, przeciwnie, stawały się raczej momentami odrodzenia. (…)* ***Zachód jest wieczny, bo jego misją jest nieść światu Jezusa Chrystusa. Dziś ta misja zostaje zdradzona, a Zachód obraca się przeciwko Bogu. Zamiast nieść Chrystusa, niesie często diabła. Czy to oznacza, że to już koniec, a Boże wybrańtwo zostało przeniesione na inne ludy, na inną cywilizację? Nie, bo Rzym jest wieczny. (…) Bóg jest dziś z nami, kiedy zmagamy się z wewnętrzną chorobą rewolucji i masowej islamskiej migracji. Nawet wbrew naszej woli przetrwamy, bo Rzym musi przetrwać. Im szybciej zdecydujemy się współpracować z Bożą łaską, tym szybciej wewnętrzni i zewnętrzni barbarzyńcy odejdą, a cała Europa przyłączy się do radosnego okrzyku Hosanna, wyśpiewywanego w kościele Matki Bożej na chronionym przez Pana Kapitolu.***

red. Paweł Chmielewski, PCh24.pl, 8 października

■ *Problem w tym, że tam, gdzie usunięty zostaje Bóg, a w centrum zainteresowania postawiono człowieka – to człowiek ten wcale nie zyskuje, a traci.* ***Bez Boga nie ma on już unikalnej wartości (…). Dziś coraz częściej funkcjonujemy w paradygmacie naturalistycznym. Nie ma tu miejsca dla chrześcijańskich założeń, w których ostateczną perspektywę wyznacza Bóg, a ludzie traktują Go jako swojego Ojca. (…) To On powołuje człowieka do życia, a zarazem wzywa go do swoistej przemiany ontologicznej, w której człowiek, poprzez otwarcie się na Jezusa Chrystusa, może osiągnąć status dziecka Bożego. W naturalizmie, zwłaszcza pojętym religijnie, punktem odniesienia nie jest już Bóg Ojciec, ale Matka Ziemia czy też Gaja. Ideolodzy ekologizmu mówią nam, że skoro Ziemia nas nosi i karmi, skoro to ona kiedyś przyjmie nasze kości – to właśnie ona jest naszą prawdziwą matką.*** *W naturalistycznym paradygmacie najważniejsza okazuje się uległość wobec natury. To zaś prowadzi do degradacji ludzkiego bytu.*

ks. Robert Skrzypczak, PCh24.pl, 5 października



Rys. MARCIN CHUDZIK

■ *Rodzice nieinteresujący się tym, co dzieci robią w internecie,* ***wychowanie bez Dekalogu i stawiania wymagań, władze miast i ośrodki kultury organizujące koncerty satanistyczne,*** *a później zdziwienie, dlaczego w dzieciach i młodzieży jest tyle agresji.*

ks. Janusz Chyła, X, 10 października

KLECHA

eprasa.pl e8f39059d9



Ilustr. PAWEŁ FERENC

Pamiętnik starego reportera

Znów zebrało mi się na wspominki. Cóż, trudno pisać o aktualnościach sprzed telewizora.

Akurat miałem dyżur w dziale sportowym „Trybuny Ludu”; był 21 września 1977 r. Niemal wszyscy Polacy mieli włączone telewizory, bo w Chorzowie rozgrywano piłkarski mecz eliminacji do mistrzostw świata z reprezentacją Danii. Wówczas nie było niczego ciekawego w telewizji i mecze takie jak ten sprawiały, że na ulicach robiło się pusto. Wyglądało to tak jak później podczas pandemii COVID-19. Ja patrzyłem w ekran telewizora nie tylko jako kibic, ale jako dyżurny działu sportowego. Sprawozdanie pisał nasz wysłannik na Stadion Śląski nieżyjący już Andrzej Biliński, a moim zadaniem było zaadiustować tekst, który on przez telefon podyktuje maszynistce, opisać go technicznie i zesłać do drukarni. Takie było zadanie dyżurnego.

Do głowy mi nie przyszło, że coś mnie zaskoczy. Tymczasem – bijcie, zabijcie, nie pamiętam, w której minucie – na boisku wydarzyło się coś, co sprawiło, iż rozdzwoniły się telefony, w trybie pilnym przyjechał do redakcji kierownik działu, dziś ponad 90-letni Andrzej Lewandowski, służbowym samochodem posłano gońca (był taki zawód w przedinternetowej epoce) do Centralnej Agencji Fotograficznej, słowem – zaczął się wielki ruch.

Efekt propagandy?

Na duńską bramkę szarżował nasz najlepszy napastnik Włodzimierz Lubański, już miał strzelać, gdy pod nogi rzucił mu się bramkarz Ole Poulsen. Polak przeskoczył nad nim, gra potoczyła się dalej, a nasza jedenastka wygrała mecz 4:1. Tak, mieliśmy wówczas wspaniałą drużynę i wspaniałych piłkarzy.

W tamtych czasach popularne było umawianie się na wspólne śledzenie ważnych transmisji. Coś takiego musiało się odbywać w budynku Komitetu Centralnego PZPR. Nie wiem, kto był na tym nieoficjalnym zebraniu plenarnym, ale na pewno ktoś bardzo, bardzo ważny, a może nawet najważniejszy. W każdym razie boiskowy incydent z udziałem Włodzimierza Lubańskiego musiał na tym kimś wywrzeć ogromne wrażenie, choć nie było w tym niczego nadzwyczajnego. No bo co niby miał zrobić Lubański? Kopnąć Poulsena w głowę? Podobne sceny widziało się na wielu boiskach, i tych z najwyższych lig, i tych podwórkowych, i nikt nie kopał bramkarza.

W każdym razie zapadła decyzja: trzeba piękny gest naszego napastnika wyeksponować. Aparat partyjny, normalnie dość nieruchliwy, potrafił działać sprawnie i błyskawicznie. Wydano stosowne dyspozycje. Na szczęście fotografowi CAF udało się złapać moment, w którym Lubański przeskakiwał nad Poulsenem, i stosowne zdjęcie ukazało się rano na pierwszych stronach wszystkich gazet. Bezceremonialnie zrzucano z tych pierwszych stron inne ważne informacje, a to o wykopkach ziemniaków w spółdzielniach produkcyjnych, a to o przekroczeniu planu przez jakiś zakład. Wszędzie pisano tylko o Lubańskim-dżentelmenie. Akcja zatoczyła tak szerokie kręgi, że przekroczyła nasze granice, co najbardziej dziwiło samego Lubańskiego, który powtarzał, że każdy na jego miejscu przeskoczyłby nad bramkarzem.

W 1978 r. polski piłkarz uhonorowany został nagrodą fair play UNESCO. Kurczę, Lubańskiemu należała się nie jedna, ale kilkanaście albo i kilkadziesiąt nagród fair play. Był to i sportowiec, i człowiek, który zawsze zachowywał się nienagannie. Gdy w meczu Polska–Anglia został sfaulowany przez Roya McFarlanda, a kontuzja wykluczyła go z gry na dwa lata, nigdy nie powiedział złego słowa o rywalu. Powtarzał, że wszystko odbyło się w ferworze walki. Oglądałem mecz z trybuny Stadionu Śląskiego i tyle mogę tylko powiedzieć, że wślizg McFarlanda na pewno nie zasługiwał na nagrodę fair play ani UNESCO, ani żadnej innej organizacji.

Tak się zastanawiam, jak dzisiaj – z perspektywy czasu – ocenić tamto wydarzenie, którego byłem świadkiem na dyżurze w dziale sportowym „Trybuny Ludu”. Czy było to coś paskudnego, co pokazało, jak ignorant w gmachu KC PZPR potrafił zmanipulować opinię publiczną i to nie tylko w naszym kraju? Czy po prostu zabawny incydent z mojego dziennikarskiego życia?

W tajniackim uniformie

Oczywiście najczęściej wspominam igrzyska olimpijskie w Moskwie w 1980 r. Może dlatego, że były to jedyne igrzyska olimpijskie, które miałem zaszczyt obsługiwać. Normalnie na tę największą sportową imprezę wysyłano tylko utytułowanych żurnalistów: naczelnych, kierowników działów itp. W przypadku Moskwy było inaczej. Uznano, że Polska Ludowa musi mieć tam znaczniejszą obsadę. Z działu sportowego „Trybuny Ludu” wysłano kierownika – wspomnianego Andrzeja Lewandowskiego – i młodego sprawozdawcę potrafiącego szybko i sprawnie pisać, znającego jako tako język rosyjski, czyli mnie.

O moich sportowych przeżyciach w Moskwie pisałem tu nie raz i nie dwa. Teraz pozasportowa anegdotka. Każdy z dziennikarzy delegowanych do – jak to się oficjalnie nazywało – obsługi igrzysk olimpijskich w Moskwie w 1980 r. przygotowywał się najlepiej jak umiał. Dotyczyło to także ubioru, wszak w jakimś sensie reprezentowaliśmy kraj. Ja zdecydowałem się na zachodni sznyt: dżinsy Lee z Pewexu i reklamowe koszulki z krótkim rękawem, które podarowano mi na różnych zawodach. Nestor dziennikarstwa sportowego Stefan Sieniarski z „Życia Warszawy”, szarpnął się na srebrzysty garnitur szyty na miarę u Zaremby, najsłynniejszego warszawskiego krawca. To był jego poważny błąd.

Wszyscy uczestnicy igrzysk, niezależnie od tego, czy biegali i skakali, czy o tym pisali, byli skrupulatnie pilnowani. Czuwała nad nami zdumiewająco liczna rzesza tajniaków. Łatwo mogliśmy ich rozpoznać, bo ubrani byli w jednakowe srebrzyste garnitury skrojone tak elegancko, jak gdyby zamówiono je u samego mistrza Zaremby. Stefan Sieniarski lubił trzymać ludzi na dystans, nawet z młodszymi kolegami po fachu nie przechodził na ty, ale w Moskwie okazał się bezradny. Co i rusz jakiś młodzieniec w srebrzystym garniturze poklepywał go po plecach i zagadywał po rosyjsku.

Strajk kolarzy

Teraz coś z zupełnie innej beczki. W minioną sobotę rozegrano kolarski wyścig Il Lombardia. To jedna z najstarszych (rozgrywana od 1905 r.) jednodniówek, zaliczana do pięciu Monumentów, czyli najważniejszych tego typu wyścigów. Klasyk ze względu na późną porę rozgrywania nazywany bywa wyścigiem spadających liści i stanowi finał szosowego ścigania się w Europie.

W tym roku dano sygnał do startu, ale kolarze nie wyruszyli na trasę. Zostali na jezdni, a mistrz Europy Belg Remco Evenepoel do podanego mu mikrofonu wygłosił apel o zadbanie o większe bezpieczeństwo szosowców, którzy doznają ciężkich obrażeń lub nawet giną, bo ktoś nie dopilnował trasy i wpuścił na nią samochód lub motocykl. „Chcemy się ścigać, to nasz zawód i pasja – mówił Evenepoel – ale chcemy to robić bezpiecznie”.

Bezpośrednim powodem kilkuminutowego strajku była śmierć 19-letniego Finlaya Tarlinga podczas wyścigu dookoła Portugalii. Uderzył w niego samochód jadący w przeciwnym kierunku i nie należący do żadnej z ekip.

Po trwającym ok. 5 min proteście wyścig ruszył, a wygrał go po fantastycznej ucieczce 20-letni Francuz Paul Seixas, najmłodszy zwycięzca w historii tej zacnej imprezy. Zawodowe grupy toczyły prawdziwą wojnę o młodego kolarza, który – jak się przypuszcza – ma największe szanse rywalizowania w przyszłości z fenomenalnym Słoweńcem Tadejem Pogačarem. Do sprawy włączył się nawet prezydent Emmanuel Macron, który chciałby, aby najzdolniejszy szosowiec pozostał we francuskiej grupie zawodowej Decathlon i nie przechodził do innego, bogatszego zespołu. Tak się też stało: Paul Seixas zapowiedział, że nie zamierza zrywać kontraktu z Decathlonem i Francuzi mają nadzieję, że doczekają się swojego zwycięzcy Tour de France. Ostatni raz wygrał Bernard Hinault w 1985 r.

Peleton jedzie na kawę

Patrząc na kolarzy, którzy nie ruszyli z linii startu Il Lombardii, przypomniałem sobie, jak byłem świadkiem i poniekąd współwinnym wielkiego zamieszania na starcie jednego z etapów kolarskiego wyścigu Giro delle Regioni we Włoszech. Tam sytuacja była odwrotna: nikt nie dał sygnału do startu, a wyścig jednak ruszył.

Wraz z moim mentorem i starszym przyjacielem, nieżyjącym już Lechem Cergowskim z „Przeglądu Sportowego”, ustawiliśmy na starcie nasz wóz prasowy przed peletonem, aby z pierwszej górskiej premii obejrzeć sytuację. Niedługo przed startem Leszek jednak zmienił zdanie i wpadł na pomysł, że skręcimy w jedną z bocznych uliczek, wypijemy espresso i kieliszeczek grappy, po czym dołączymy do wyścigowej kolumny za peletonem.

Leszek, który prowadził samochód, ruszył, skręcił w wąską uliczkę i od razu – jak to w Italii – napotkaliśmy miłą kawiarenkę. Problem w tym, że gdy kolarze zobaczyli ruszający samochód, pomyśleli, że właśnie rozpoczął się wyścig. Za kolarzami pojechały oczywiście wozy techniczne, karetki itd. Cała potężna wyścigowa kolumna znalazła się w wąziutkiej i, co gorsza – jak się okazało – ślepej uliczce.

Popijając pyszną kawę i smakując grappę, obserwowaliśmy z Leszkiem, ile wysiłku kosztowało wycofanie wyścigowej kolumny na właściwą trasę. Naprawdę tego nie chcieliśmy.

Było nam trochę głupio, ale fajnie się o tym opowiadało po powrocie do kraju, już nie przy kieliszku grappy, lecz Extra Żytniej.

Jeśli chodzi o picie alkoholu, to w pracy dziennikarza sportowego mojej epoki odgrywał on znaczącą rolę. Co tu owijać w bawełnę – chlaliśmy na potęgę i w redakcjach, i podczas zawodów. Dzisiejsze dziennikarstwo sportowe jest inne. Nie piszę, że lepsze lub gorsze. Po prostu inne, bo inne są warunki życia.

My mieliśmy bardzo ograniczony dostęp do informacji. Nie tylko nie było internetu, nawet nie mieliśmy zagranicznej prasy, zresztą ze znajomością języków obcych także u nas było krucho. Ja na przykład dostawałem tylko „Československý Sport”, który odczytywałem dzięki podobieństwu naszych języków oraz ukończeniu filologii polskiej i słowiańskiej na UW. Zrzynałem z tej gazety, jak leciało. Jiři Černy, który zajmował się kolarstwem w sportowej gazecie naszych południowych sąsiadów, zrzynał ode mnie. Gdy spotykaliśmy się podczas różnych wyścigów, boczyliśmy się na siebie i wzajemnie zarzucaliśmy sobie plagiaty.

Książki nie będzie

Za komuny głównie obsługiwałem wyścigi kolarskie. Na słynnym Wyścigu Pokoju, który bez kontroli paszportowo-celnej przejeżdżał przez granice między Polską, Czechosłowacją i NRD (a przecież na Zachodzie nie było jeszcze mowy o strefie Schengen), spędziłem rok życia. Czy dzisiejszy sprawozdawca obserwujący szosowców, siedząc w wygodnym fotelu w domu i patrząc na obraz z wielu kamer na motocyklach i ze śmigłowca, potrafi sobie wyobrazić, że nie mieliśmy takich udogodnień?

Jechaliśmy albo przed peletonem, albo za nim, normalnymi samochodami osobowymi. Wychylaliśmy się przez okna, żeby choć na chwilkę popatrzeć na kolarzy. Więcej zobaczyć można było w górzystym terenie. Wjeżdżało się na szczyt i spoglądało w dół.

Aby napisać sprawozdanie, trzeba się było wspomóc wypowiedziami kolarzy za metą. No dobrze, przyznam się, bo sprawa jest już przedawniona. Wyścig dookoła Słowacji (w ČSRS rozgrywano osobno wyścigi dookoła Czech i Słowacji, choć był to jeden kraj) oglądałem z jednego samochodu – jak zwykle – z Leszkiem Cergowskim. Niestety, auto się zepsuło i zanim Leszek poskładał wszystko na swoje miejsce, kolarze dawno dojechali do mety. Na miejscu ekipy zwijały już dekoracje i od tych ludzi dowiedzieliśmy się, kto wygrał, a kto był trzeci na mecie. Kto drugi – nikt nie wiedział.

Z tymi wiadomościami pojechaliśmy do hotelu, gdzie już dzwoniły nasze redakcje po sprawozdania. W drodze uzgodniliśmy z Leszkiem, jak przebiegał etap (żeby nasze relacje się nie różniły), a ponieważ w peletonie nie było innych polskich dziennikarzy, nie musieliśmy obawiać się kompromitacji. Leszek wygłosił później ważne zdanie: „Pamiętaj, Wojtuś, że wyścig wygląda tak, jak go opiszemy”.

Dzisiejsi dziennikarze sportowi są dobrze wykształceni, znają języki, ze sprawnością małpy poruszają się po internecie. Nie wiem, czy piją alkohol; żeby byli abstynentami – nie uwierzę. Jestem natomiast pewien, że nie piją tak, jak my piliśmy, czyli jawnie i bezczelnie. Pewnie wyrzuciliby ich z pracy po jednym dniu. Wydaje mi się, że nasze dziennikarstwo sportowe charakteryzowała za to większa fantazja. To efekt niedostatecznego kombinowania, najczęściej w niezbyt trzeźwym widzie.

Podczas dziennikarskiej pracy nazbierało mi się mnóstwo różnych anegdot. Niektórzy koledzy (także Czytelnicy w mailach do mnie) proponują, żebym zebrał wszystko do kupy i wydał w formie książkowej. Od razu odpowiadam: nie ma mowy. Po pierwsze nie jestem przekonany, czy jest to naprawdę aż tak ciekawe, żeby tworzyć książkę, po drugie – już chyba jestem na to zbyt wiekowy. Nawet pisanie cotygodniowego „Sportka” jest dla mnie poważnym wyzwaniem i muszę porozmawiać z Naczelną, aby jeśli w ogóle nie zamknąć rubryki, to przynajmniej zmniejszyć częstość jej pojawiania się na łamach.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

NIE

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Tadeusz Klementewicz, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–16 – 14.10.2026 r.

„NIE” w komórce
Papier się gniecie. Telefon nie.

eprasa.pl e8f39059d9

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

– Cześć, dziadku. – Chłopaczyna miał 15 lat, a wyglądał na 13. Przycupnął na kanapie, otworzył plecak, w którym nie było buławy, tylko nóż. Zwykły nóż kuchenny, ostrze 19 cm, rękojeść 13.

– Nie za duży? – zapytał mężczyzna, którego chłopaczyna nazwał dziadkiem. Miał 83 lata, listę chorób długą jak obietnice wyborcze Koalicji Obywatelskiej i naprawdę był pradziadkiem 15-latka.

– Może i duży, ale za to lekki. Większy wzbudza większy lęk.

Pradziadek musiał się zgodzić.

– A ty? – zapytał prawnuczek. – Jak idą przygotowania?

W odpowiedzi staruszek otworzył stojący na stoliku laptop, poczekał, aż się załaduje, a potem kliknął w ikonkę.

– „Poszukuję odważnych, gotowych na wszystko, uważających, że wszystkiemu winien jest Tusk” – przeczytał chłopiec. – Nie nazbyt dosłowne?

Pradziadek nie odpowiedział. Albo nie słyszał pytania, albo zapomniał odpowiedzi.

– Ktoś się zgłosił? – Prawnuczek nie dawał za wygraną.

– Dwóch. Jeden po wylewie na wózku, drugi były bokser cierpiący na padaczkę.

– Będzie coś z nich?

– A będzie coś z ciebie, synku? – pytaniem na pytanie odparł pradziadek.

Chłopiec zrobił minę Jasona Stathama. Niezdarnie wyjął z plecaka nóż, który wypadł mu z ręki na podłogę.

– Zabiję, ilu zdołam – warknął głosem niedawno zmienionym przez mutację.

– To tak samo jak my – ucieszył się pradziadek. – Mamy środki i motyw. Czekamy na sposobność.

Gdy kwadrans później prawnuczek wychodził z mieszkania pradziadka, przy drzwiach wyszeptał konspiracyjne hasło: – Jebać Tuska.

– I Kosiniaka – odpowiedział 83-latek.

Jeszcze tego samego dnia obaj zostali zatrzymani przez agentów Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Podobnie jak były bokser, gość na wózku oraz ponad stu uczniów szkół podstawowych i średnich.

– Sprawę zamachu na premiera i wicepremiera traktujemy śmiertelnie poważnie – powiedział nazajutrz Jacek Dobrzyński, rzecznik prasowy ministra koordynatora służb specjalnych.

Usiłował zrobić minę Jasona Stathama, ale mu nie wyszło.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją



JOANNA SENYSZYN zebrała podpisy na senatora. **AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA** z nią zbierała. No, prawie...

Senyszyn: – Nie żebym była niewdzięczna, ale za dużo nie zebrałaś…

Wołk-Łaniewska: – To prawda. Niestety, w tym zakresie jestem lekko upośledzona: nie potrafię zaczepiać ludzi na ulicy. Bo ja jestem jak Nixon…

– Zakładasz konkurencji podsłuchy i tajnie nagrywasz swoje rozmowy?

– Nie, nie na odcinku Watergate. Ale ktoś kiedyś o nim powiedział, że jest introwertykiem na stanowisku ekstrawertyka. To tak jak ja.

– Czytałam gdzieś o Richardzie Nixonie, że przed każdym rautem wybierał sobie pięć czy sześć osób, z którymi był gotów porozmawiać – i miał dyskretną obsadę złożoną z parunastu ślicznych, młodych oficerek, które pilnowały, żeby nikt spoza tej listy do prezydenta nie podchodził. I jak ktoś niepowołany ruszał w jego kierunku, to oficerki podchodziły, brały go za łokieć i odwracały uwagę gościa, żeby prezydent mógł się oddalić… Do tego zadania też byś się nie nadawała.

– No wiem, wiem, nie jestem młoda i śliczna…

– Jesteś, jesteś. W ostatnich latach młodość się bardzo wydłużyła, zwłaszcza kobietom. Teraz sześćdziesięciolatki są jak kiedyś trzydziestolatki. A w Zielonej Górze zaczęłaś się rozkręcać. W przyszłorocznej kampanii będziesz już świetną zbieraczką.

– Może i tak, bo byłam zachwycona całą tą akcją. Zbieraliśmy, zbieraliśmy i zebraliśmy – jak by powiedział Kiwaczek. A na następne wybory kupimy ci białe futro…

– No fakt, zmarzłam i się przeziębiłam. Ale czemu akurat białe?

– Brutalnie ci powiem, że w ogóle nie myślałam o tym, żeby ci było ciepło. Tylko skoro i tak robisz za misia na Krupówkach, to biała szuba będzie jak znalazł. Tytułem wyjaśnienia dla Czytelników: mniej więcej co druga osoba, mijająca Joannę na deptaku w Zielonej Górze, chciała się z nią fotografować. Także ci, którzy nie chcieli poprzeć jej kandydatury…

– Albo nie mogli, bo mieli na przykład 12 lat…

– To skądinąd nie do uwierzenia, jak staro młodzież dzisiaj wygląda. Chodzące pułapki na pedofilów… W każdym razie – mimo zimna i wrodzonej nieśmiałości bardzo mi się podobało. Na przykład pani Różańska była przemiła.

– To prawda. Wdowa po generale podeszła do mnie i bardzo sympatycznie się przedstawiła.

– W ogóle ta Zielona Góra jest jakoś dziwacznie sympatyczna, w odróżnieniu od ziejącej agresją polityki krajowej. A skoro już się tak zgadało: czy bardzo się przejęłaś projektowanym zamachem na premiera i wicepremiera?



Ilustr. PAWEŁ FERENC

– Donald Tusk miał doprawdy niezwykłe szczęście, że ktoś postanowił go wysadzić akurat w tym momencie, skutecznie odwracając uwagę opinii publicznej – a przynajmniej mediów – od wyniku kandydatki KO w Krakowie.

– Który był – odnotujmy – trzecią z kolei prestiżową klęską tuskowej formacji: po wyborach prezydenckich i odwołaniu Miszalskiego.

– Ale za to opatrzność ocaliła go od zamachu! A wraz z nim Władysława Kosiniaka-Kamysza. To na pewno zasługa ciotki Kosiniaka aspirującej do świętości. Może to jest właśnie ten cud, którego brakowało do beatyfikacji? Teraz pójdzie już z górki.

– No pewnie, bez cudu by się nie obeszło, zagrożenie było poważne: 66-latek, który na Fejsie założył grupę „Radykalny Polski Ruch Oporu” i zdobył 7,8 tys. obserwujących…

– Imponująca liczba.

– Prawda? To ja powiem, bo tobie nie wypada, że ty masz 131 tys.

– Dobra, dobra, przecież wiem, że mówisz to po to, żebym odwzajemniła się informacją, że „NIE” ma 423 tys.

– I serdecznie zapraszamy na oba nasze facebookowe profile. Wracając do tematu: te 7,8 tys. mniej więcej oddaje skalę poparcia dla wywrotowego ruchu Krzysztofa N. z Wrocławia. Przypomina mi to anegdotę Karola Modzelewskiego: jak w 1964 r. bezpieka ich zgarnęła za maszynopis tekstu, który stał się później słynnym „Listem otwartym do członków partii”, to mu esbek powiedział pouczająco: „Taką konspirację, panie Modzelewski, to wziąć i o dupę potłuc”. A potem go wypuścił.

– Ale przecież Kuroń z Modzelewskim siedzieli za ten list?

– Tak, ale dopiero, jak spróbowali go rozpowszechnić w zawrotnej liczbie 14 egzemplarzy maszynowych i trzech odręcznych. Wtedy tow. Wiesław się zdenerwował. Obawiam się, że tow. Donald się zdenerwował od razu i Krzysztof N. nie dostanie – jak Modzelewski – 3,5 roku, tylko de facto czapę.

– Może jednak trochę przesadzasz?

– Obawiam się, że nie. Pamiętasz Brunona Kwietnia?

– To był ten chemik z Wrocławia, którego wsadzili za próbę wysadzenia sejmu?

– Nie tyle za próbę, co za chęć. Kwiecień założył konspiracyjną organizację, w skład której – jak się później okazało – weszli trzej funkcjonariusze i jeden tajny współpracownik ABW…

– Pamiętam taką książkę Chestertona: „Człowiek, który był czwartkiem”. O agencie Scotland Yardu, który został członkiem tajnej rady anarchistów i po jakimś czasie się zorientował, że rada składa się wyłącznie z agentów policji, którzy mieli ksywy od nazw dni tygodnia.

– Kwiecień też się w jakimś momencie połapał i odwołał zamach. Ale i tak go wsadzili.

– A, już pamiętam. 35 sztuk broni, którą według aktu oskarżenia miał posiadać, nigdy nie znaleziono, podobnie jak czterech ton materiałów wybuchowych i SKOT-a, w którym miały być umieszczone i dowiezione pod sejm.

– To wszystko było humorystyczne, ale władza potrzebowała pokazać, że walczy z terroryzmem, Kwietnia postawiono przed sądem pod nadętymi do szaleństwa zarzutami, dostał 13 lat, zmarł w więzieniu. Obawiam się, że Krzysztofa N. – który sprawia wrażenie równie skutecznego konspiratora jak Kwiecień – czeka podobny los. Z tym że za Gomułki za taką konspirację, co to o kant dupy potłuc, to się dostawało trzy lata, a dziś 13. Ten rzekomy terrorysta ma lat 66, szansa, że wyjdzie żywy z tego pierdla, wydaje mi się nieprzesadna.

– W ogóle władza teraz zrobiła się bardzo bojąca. Nawet słów. Pamiętasz, jak ścigali jakiegoś internautę za napisanie czegoś obraźliwego o Komorowskim?

– Antykomor.pl. Tam głównie chodziło o grę internetową, w której można było strzelać do Komorowskiego. Ale warto też wspomnieć, że zarzut znieważenia prezydenta w końcu został umorzony, głównie dlatego, że sam Komorowski mówił, że jak ktoś jest osobą publiczną, to nie może się ze sobą cackać. Nie spodziewałam się, że kiedyś to powiem, ale wobec swoich dzisiejszych partyjnych kolegów Bronek stanowi wzór demokraty i obrońcy wolności słowa.

senyszyn@wp.pl
wolklaniewska@wp.pl

DĄBROWSKI RYSUJE

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl e8f39059d9